

# SZCZEPAN TWARDOCH

## Otchłań

Dwie nitki piasku – koleiny pozostawione przez setki i tysiące wozów przemierzających ten odwieczny trakt z południa na północ. Rozdzielone przez niewielki garb, pokryty żółtą, suchą trawą upstrzoną końskim nawozem. Z dwóch stron pylistego traktu rozpościerały się ścierniska, które kiedyś były bezkresną pusztą.

Monotonny, rolniczy krajobraz był ostatecznym dowodem triumfu człowieka nad tą krainą. Oto poddała mu się puszcza, ugięła się pod lemieszem i broną, jako niewolnica rodzi teraz ziarno, zamiast przerażać ogromem swojej bezkresnej przestrzeni, tak jak przeraża ocean.

Wciąż jeszcze nie wybrzmiały do końca odgłosy towarzyszące znojnjej budowie pierwszego traktu. Jęki zmęczenia i bólu, które bat ze skóry nosorożca wydobywał z kilkuset spalonych słońcem ciał, stukot kilofów, skwierczenie dopalającego się nad ranem olejowego kaganka w namiocie młodego centuriona, zatopionego w lekturze łacińskiego przekładu Tukidydesa.

Oficer nie spał w nocy – gdy wstawał ze składanego fotela, aby dokonać porannego przeglądu swoich żołnierzy i niewolników, przeciągnął się mocno, aż strzeliły kręgi i kostki palców. Każdemu krokowi akompaniowało skrzywienie rzemieni zakurzonego pancerza, którego nikt dawno nie czyścił i suche uderzenia sandałów o miałką ziemię, gdy szedł powoli przed długim szeregiem niewolników. Słyszał dyskretne ziewnięcia wspierających się na swych tarczach żołnierzy, którzy biesiadowali tej nocy, za jego pozwoleniem.

Kilkanaście stuleci później obok tego, nie wyróżniającego się już niczym miejsca, w którym kiedyś stał regularny czworobok wałów, namiotów i latryn, snuła się długa kolumna więźniów. Nikt nie pamiętał już o niewolnikach, którzy pracowicie układali tutaj kamienie rzymskiej drogi. Nikt nie pamiętał o młodym centurionie, który na własną prośbę przyjechał tutaj z Rzymu i którego kości, wraz z przeżartymi przez rdzę resztkami pancerza, leżały w tej ziemi od czasu, kiedy szabla huńskiego wojownika roztrzaskała mu czaszkę. Więźniowie, idący drogą, nie myśleli o tym, ilu im podobnych przeszło już ten szlak. Cierpienie milionów jest zawsze niczym wobec naszych własnych, obtartych do krwawiącego mięsa stóp. Wysuszone z pragnienia usta dolegają bardziej, niż świadomość, że byli tacy, co marli tutaj z braku wody i jadła.

Kolumnę eskortowali jeźdźcy. Na czele pochodu jechał dragon, na chudym, izabelowatym koniu. Wierzchowiec nie pochodził bynajmniej z wojskowej stajni – dobre konie potrzebne były na polu bitwy, strażnicy musieli zadowolić się wiejskimi szkapami. Jeździec dawno pozbył się z grzbietu mundurowego lejbaka, dragoński kask kołysał się przy łęku. Żołnierz obwiązał sobie głowę koszulą, niedawno zamoczoną w studni, gdzie poili konie i jeńców. Resztką ciepłej wilgoci, ukryta w załomach płótna nie dawała już żadnej ochłody. Dragon miał okrągły brzuch i pulchne ramiona – widać było, że pochodził z północy, gdyż blada, piegowata skóra zdążyła już pokryć się różową opalenizną, zupełnie inną od brązowej na szczupłym torsie drugiego strażnika, który jechał skrajem ścierniska z prawej strony traktu. Po granatowych rajtuzach z lampasami i lancy, zaczepiętej dwiema pętlami o lewy łokieć i strzemię, znać było ułana. Z pewnością też pochodził stąd, gdyż wschodnim obyczajem nie zsiadając z siodła, pozwalał swojej karej klaczy zjeść parę pozostawionych na ściernisku kłosów, gdy tylko miała na to ochotę.

Dwaj pozostali strażnicy, również ułani, trzymali się z tyłu. Obaj weterani pilnowanie jeńców zostawili młodszemu koledze i dragonowi. Sami raczyli się chłodnym winem z bukłaka, okładanego mokrymi szmatami, i prowadzili niespieszną pogawędkę w południowym języku, którym mówiła większość jeńców. Całą kolumną dowodził najstarszy ze wszystkich jeźdźców, doświadczony wachmistrz Slobodan Draga.

Draga cieszył się absolutnym zaufaniem przełożonych – walczył przeciwko swoim rodakom w czasie trzech kolejnych powstań. Był weteranem elitarnego Czwartego Cesarskiego Pułku Ułanów Krestwińskich, który w całości składał się z południowych Słowian i był jedną z najpewniejszych jednostek w całym cesarskim wojsku. Nieformalnie zaliczano ich do gwardii – na paradach występowali zawsze przed wojskiem liniowym, razem z pułkami gwardyjskimi. Krestwińcy co dwa lata składali cesarzowi przysięgę wierności, gdy Jego Wysokość osobiście wizytował ich pułk. Rekrut, póki nie odsłużył sześciu miesięcy, nie miał prawa ślubować cesarzowi. Zaś nie złożony przysięgi, nie miał prawa nazywać się Krestwińcem, ani nosić emblematów prawdziwego ułana: kordonów i pióropusza przy czaku.

Tak jak kiedyś dobrze bił się na wojnach, tak teraz Draga starał się dobrze pełnić swoją służbę. Chociaż bezwzględny, nie był okrutny. Wszelkie przewinienia karał chłostą, albo kulą w łeb, lecz jeśli więźniowie byli pokorni i potulni, nie znęcał się bez potrzeby. Nie narzucał też strasznego tempa marszu. Wiedział, że dzień czy dwa, które w ten sposób zaoszczędzi, nic nie dadzą, gdy przyjdzie później ciągnąć chorych czy wycieńczonych.

Jeńcy wszyscy wyglądali podobnie – chudzi, bo państwo porządnie żywiło tylko żołnierzy, obdarci ze wszystkich cenniejszych części garderoby, bez butów, kurtek, czapek, wszyscy w jednako podartych koszulach i spodniach, czasem mających jeszcze ślad mundurowego lampasa, czy szewronu. Wszyscy mieli ręce skrępowane z tyłu, i byli połączeni ze sobą solidnym powrozem, do którego przymocowano pętle, luźno zwisające na ich szyjach. Więźniów trzeba było dwa razy dziennie rozwiązywać przed posiłkami i dodatkowo wiązać im nogi przed noclegiem. To właśnie zajmowało strażnikom najwięcej czasu. Dwóch zakładało pęta, dwóch pilnowało, siedząc w siodłach. „Zrobienie”, jak to określali, dwudziestu sześciu więźniów, zajmowało około pół godziny, co dawało półtorej godziny każdego dnia.

\*\*\*

Od kilku dni pejzaż przeobrażał się powoli. Wcześniej puszcza stopniowo zamieniała się w las, dziś ciągnące się po horyzont pola i pastwiska ustępowały niewielkim, zielonym poletkom, zagajnikom, łąkom, przecinanym gęstą siecią dróg i strumieni. Krajobraz nieomalże monochromatyczny, cały w żółciach i brązach, nabrał soczystych zieleni, mienił się wielokolorowymi kwiatami w oknach białych domków o czerwonych dachach. Nawet ludzie, wcześniej zszarzali, pokryci pyłem i kurzem, tutaj stawali się barwni: dziewczęta o błyszczących, jasnych włosach, w kolorowych fartuszkach na ciemnych spódnicach, wiejscy gospodarze, wychodzący z kościoła, dumnie noszący czarne, szmelcowane buty z cholewami. Kręgosłup i siła cesarstwa, wolni chłopci, kmiecie. Mieli prawo do noszenia broni, jednak nie przy pasie, tylko w ręku – i u wielu widać było szable czy szpady. Na północy tacy ludzie należeli do szlachty, jako jej najniższa warstwa, zaś wsie, takie jak ta, zwały się zaściankami – ot, słowiańska skłonność do przesady. Tutaj wszystko było na swoim miejscu.

Mieszkańcy nie zwracali uwagi na więźniów. Widywali takie kolumny regularnie, kilka w miesiącu. Nikt nie czuł tutaj do jeńców nienawiści. Czasem jakiś gospodarz dał im bochen chleba, który podzielili między siebie, niekiedy dostali wody czy mleka. Tylko marsz był trudniejszy – bose stopy krwawiły na brukowanych drogach.

\*\*\*

Resztkami sił wlekli się przez miasto. Więzień, idący jako ostatni w kolumnie, był już kiedyś w stolicy. O, jest i szynk „U szewca”, pili tu piwo z kolegami z pułku, a tam winiarnia, gdzie dyskutował z baronem Szabo o literaturze i galeria szermiercza, tutaj właśnie ćwiczył się w szpadzie. I pałac, w którym tak mile go podejmowano.

Jednak coś się zmieniło, coś wisiało w powietrzu. Kawiarniane stoliki, kiedyś otoczone leniwą atmosferą sjęsty, dziś kipiały od emocji. Ludzie spierali się, zamiast rozmawiać. Cesarska policja, nie tak dawno jeszcze dumnie paradująca po chodnikach – symbol siły i potęgi państwa, teraz przemykała pod ścianami. Zamiast szacunku, okazywano jej jawną wrogość. Co jeszcze dziwniejsze, zniknęły gdzieś podziały między stanami. Widać było szlachtę bratającą się z ludem, dyskutujące zawzięcie grupy przechodniów składały się z ludzi wszystkich profesji.

Więzień spostrzegł, że mieszkańcy stolicy podzielili się na dwie grupy – jedni nosili na głowach śmieszne, czerwone czapeczki, jakich nigdy tutaj nie zauważył, inni przypinali do surdutów kokardy w cesarskich barwach, co zwyczajnie czyni się tylko w wojsku.

Tych w czerwonych czapkach było znacznie więcej. Chodzili uzbrojeni w piki, karabiny, myśliwskie strzelby i pistolety. Widział prostych ludzi, którym spod kapoty zwisała nieudolnie przypięta, lub przywiązana sznurkiem, ciężka szabla czy też kirasjerski pałasz. Byli bardziej pewni siebie, hałaśliwi, często pijani. Wśród nich kręciło się i paru szlachciców – więzień zauważył nawet znajomą twarz, kawalera von Aue, jednak wśród wystrojonych w czapeczki przeważali piekarze, czeladnicy, sklepikarze.

Czerwoni, bo tak ich nazywano, okazywali jawną wrogość żołnierzom prowadzącym więźniów. Co chwilę z drzwi kawiarni czy klubu w stronę strażników leciała butelka. Ci zaś byli dziwnie potulni. Gdyby coś takiego zdarzyło się w innym mieście, śmiałek w najlepszym razie dostałby nahajem przez plecy, w najgorszym kulę w łeb. Tutaj kawalerzyści powciskali głowy w ramiona, pochylili się, wpatrując się w końskie karki. Jakaś siła wymusiła na nich pokorę. Krzykliwi żołnierze, którym w oberżach łyczki bez słowa ustępowały miejsca przy szynkwasiu, tutaj znosili obelgi i drwiny, zapominając o honorze munduru, ścierali po cichu plwocinę.

Tylko Draga jechał wyprostowany na czele kolumny, spoglądając przed siebie, z wodzami w lewej ręce i pistoletem w prawej. W niego nikt nie rzucił butelką, nikt nie splunął. Spojrzenie starego ułana pogardliwie ślizgało się po poruszonych przechodniach. Raz tylko student odziany w krzykliwy fraczek wyskoczył z za rogu, zamachnął się, by cisnąć kamieniem, ale zmarł pod ciężkim wzrokiem wachmistrza i nagle odwrócił się, zawstydzony.

Noszących cesarskie kokardy było wyraźnie mniej. W obawie przed przeciwnikami, nie chodzili w pojedynkę. Zaczepiani przez czerwonych, bronili się słamazarnie, uciekali, bądź zbierali baty. W ciągu długiego marszu przez ulice, kolumna parę razy minęła niewielkie zbiegowiska. Czerwoni otaczali delikwentów wstążkami, a ci, gdy zagrożono im obiciem, sami zrywali cesarskie barwy i zakładali czapki. Po chwili razem z resztą zmuszali do tego swych dawnych towarzyszy, z daleko większym zapałem zdzierając kolejne kokardy, niż ich jeszcze chwilę temu bronili.

Jeńców prowadzono do Schloss, głównego więzienia cesarstwa. Przy samych wrotach do kolumny podeszła młoda dziewczyna, przekupka, jakich wiele w stolicy, nocami kupcząca swoim ciałem. Na kasztanowe włosy nałożyła na bakier czerwoną czapkę. Splunawszy pod nogi żołnierzowi, podała pierwszemu z jeńców dzban z winem – zatrzymali się wszyscy. Draga, rozsierdzony, zawrócił konia, i ryknął:

– Won, dziwko!

Dziewczyna nie zwracała na ułana uwagi. Wachmistrz spiął konia w kłus, w dwóch taktach znalazł się przy pojącej kolejnego skazańca dziewczce i zdzielił ją nahajem. Jęknęła i

podala dzban następnemu. Draga zatrzymał się, skonfundowany. Zauważył, że wokół nich gromadzi się coraz więcej czerwonych i zatrwożył się, że może utracić jeńców tuż przy końcu podróży. Wydał więc komendę i kolumna ruszyła, wchodząc powoli na dziedziniec średniowiecznego barbakanu, który teraz służył za więzienie, podobnie jak paryska Bastylia i londyńska Tower.

Na dziedzińcu więźniów rozdzielono. Część z nich miała trafić do pracy w manufakturach, reszta do posiadłości grafa von Trozt zu Bach. Wachmistrz Draga bez emocji obserwował, jak jego jeńcy, po złożeniu obietnicy, że udadzą się prosto do włości arystokraty, zostają rozwiązani i wolni wychodzą ze Schloss. W końcu pozostał tylko jeden – trzech urzędników wyraźnie nie wiedziało co z nim zrobić, postanowili więc „na razie” osadzić go w twierdzy.

Więzienie, jak przekonał się prowadzony po jego korytarzach jeńiec, było prawie puste. Z bełkotliwego monologu strażnika wynikało, że w całym Schloss siedzi tylko siedmiu aresztantów. Dwóch wyjątkowo głupich fałszerzy, którym wydawało się, że mosiężne talary mogą udawać złote, jeden chory na trypra szlachetka, którego wsadziła tutaj rodzina, mająca znajomości wśród straży (tak, tak – kiedyś takie znajomości wykorzystywało się, aby kogoś wyciągnąć!). I czterech szaleńców, których bano się zamknąć gdzie indziej. Owa obawa szczególnie tyczyła się olbrzyma – idioty o umyśle dziecka i sile wołu, przykutego do ściany twierdzy okrętowym łańcuchem.

Razem z nim w celi siedział przerażony aptekarz, który wszystkim swoim pacjentom podawał leki na przeczyszczenie. Trafił tutaj, gdy jego driakwi, reklamowanej jako środek na potencję, zażył jeden z książąt krwi, kuzyn samego cesarza. Książę planował spotkanie z pewną damą, zaś lek tak dał mu się we znaki, że spotkanie skończyło się kompletnym blamażem. Zaś dama, której nie zbywało na ciętości języka, ośmieszyła zalotnika przed całym cesarskim dworem, a nawet i samym cesarzem. Książę nie ustał w staraniach i po paru tygodniach odnalazł dowcipnego aptekarza. Ten okazał się zwykłym wariatem, mieszkającym w domu z czterdziestoma zdechłymi i zasuszonymi kotami. Zbierał je po śmietnikach i wędził w kominku, twierdząc, że odstraszą demony. Jednak skompromitowany szlachcic nie uznał tego za okoliczność łagodzącą i dopilnował, by winny jego sromoty znalazł się w Schloss.

Trzeci pomyleniec tkwił już tutaj tak długo, że nikt nie pamiętał jego przybycia. Nigdy nie odezwał się ani słowem, a od kilkudziesięciu lat pokrywał ściany swojej celi skomplikowanym ornamentem, który rzeźbił przy pomocy ułamka łyżki. W zwoje arabeski wplecione były litery i cyfry, jak szyfr. Swego czasu było o nim głośno. Celę odwiedził nawet, przybyły specjalnie z Francji, Wolter i osobiście oglądał dzieło skazańca, aby stwierdzić, że to pozbawiony sensu bełkot. Później w tym samym celu przyjechał Rousseau i stwierdził, że szaleniec jest natchniony przez Boga, a ten, kto zrozumie szyfr, posiadzie tajemnicę istnienia. Po powrocie do Genewy Rousseau napisał broszurę „O uwolnienie boskiego proroka ze Schloss”, jednak przeszła ona bez echa. Stary wariat nic sobie nie robił ze sławy. Zresztą po paru miesiącach zapomniano o nim, a po trzydziestu latach czytelnicy książeczki Rousseau nie mieli pojęcia, że jej bohater dalej żyje w murach więzienia, pracując nad swoim szyfrem. Większość z nich twierdziła, że boski prorok to figura retoryczna – metafora udręczonego w szponach tyranii ludu. Jeńca umieszczono w celi z siódmym więźniem.

\*\*\*

Cela była bardziej komfortowa od innych w Schloss. Dwieście lat temu, trzydzieści kolejnych zim spędził tu Hals von Reden – człowiek, który uwierzył, że cesarz jest Antychrystem i próbował go zgładzić, dokładnie w chwili, gdy Ravailac zaszytował dobrego króla Henryka. Reden uniknął zasłużonej kary dzięki hrabiemu de Saint-Germaine,

który w tym czasie gościł na dworze. Ów, jak mówią niektórzy, prorok i geniusz, a hochsztapler według innych, miał wizję – śmierć von Redena miała spowodować upadek dynastii. Pro publico bono zamiast Redena zamęczono ucharakteryzowanego żebraka, zaś szalonego szlachcica zamknięto do końca życia w cesarskiej twierdzy. Reden był świetnym rytownikiem – całą lewą ścianę celi pokrywały pejzaże i portrety wielkich tego świata.

Ciężkie drzwi, popchnięte grubym ramieniem strażnika, otworzyły się bezszelestnie – widać zawiasy dobrze naoliwiono. Jeniec bezwolnie stał przed wejściem, a pchnięty lekko, choć stanowczo, wkroczył do środka i usiadł na wolnej, prawej pryczy. Po przeciwnej stronie siedział wysoki, szczupły mężczyzna. Wydawać by się mogło, że przyszedł tutaj w odwiedziny. Miał na sobie nieskazitelny surdut, czysty halsztuk, wyprasowane spodnie, zasnurowane trzewiki, a jego siwe, krótkie włosy były starannie przycięte i ułożone. Nowo przybyły spojrzął na niego i bez słowa położył się na legowisku.

– Dzień dobry – powiedział więzień z lewej pryczy. – Nic nie dzieje się przez przypadek, paniczu Joachimie.

Tamten drgnął na dźwięk imienia.

– Nie pamięta mnie panicz?

– Nie... – powiedział Joachim, siadając. – Ale przypomniałeś mi, jak się nazywałem.

– A skąd tutaj czas przeszedł? Zmienił panicz imię? – zapytał spokojnie tamten.

– Nie... nie wiem. Nic nie zapomniałem, ale niczego nie pamiętam. Wszystko stało się szare. Moje wspomnienia są tak nieważne, że nie umiem o nich myśleć. Jakby ich nie było. Jak błaża historyjka, którą gdzieś zasłyszałem – bez znaczenia.

– O czym panicz mówi? Niechże się przedstawię, zatem, chociaż znałem cię od niemowlęcia. Jestem don Jaime de Astarloa, twój nauczyciel szermierki. Jak panicz niewątpliwie zauważył, chwilowo na państwowym wikcie.

Joachim długo patrzył na swojego rozmówcę.

– Don Jaime. Nie poznałbym was – powiedział wreszcie.

Poczuł się niezręcznie, wstał, w zakłopotaniu nie wiedząc, co uczynić.

– Dlaczego panicz się tutaj znalazł? – zapytał don Jaime.

– Poznałem go, potem uciekaliśmy, a ona umarła, to znaczy udusili ją, i potem właśnie nas ścigali, i tam był Herman, i zastrzeliłem go, zabrałem konia, i uszedłem, a potem była polana... polana... i na... na... nie.. nie wiem – bełkotał Joachim.

Zsunął się z pryczy, upadł na kolana i, szlochając, objął don Jaime za kolana.

– Wiem, don Jaime, ja jestem przeklęty, na wieki.

– Mów.

– Na tej polanie... Tam on był, i wszyscy, i Dubravka, i inni, ja już słyszałem pościg, a on przekonywał mnie, żebym rzucił pistolet, ale honor... Honor, don Jaime! Sługa, on ze mnie szydził, tak jak ci przekłęci bandyci wcześniej, powstańcy, i kiedy tak mi urągał, to aby zachować twarz mogłem tylko palnąć sobie w łeb...

– Więc dlaczego panicz tu jest? Nie takie były moje nauki... – powiedział surowo don Jaime. Nie rozumiał wiele z bełkotu Joachima, ale w sprawach honorowych był biegły i nie wahał się wydawać opinii.

– Ale ja właśnie tak zrobiłem! Don byłby ze mnie zadowolony! Miałem pistolet dobrze opatrzony, dobrze podsypany, skałkę świeżą! Przystawiłem sobie do skroni, pociągnąłem za cyngiel, podsypka się zapaliła i pistolet wypalił. Widziałem siebie na pustej polanie, leżącego, z góry, z roztrzaskaną czaszką...

\*\*\*

Jorge hrabia von Zelewski wjechał na polanę jako pierwszy. Andaluzyjski ogier świetnie radził sobie z nierówną ścieżką, lepiej niż konie reszty oddziału. Hrabia w prawej

ręce ścisnął pałasz, lewą osadził konia, kiedy tylko zobaczył rotmistrza von Egern leżącego na trawie, z głową w kałuży krwi. Pistoletowa kula wypchnęła lewe oko, zwisające teraz makabrycznie na policzku. Zelewski puścił pałasz na temblak i sięgnął do krótkiego sztucera, zwisającego na szaserskim bandolierze. Odwiódł kurek i strzelił w powietrze, wzywając resztę pościgu. Wysunął stopy ze strzemion, schował klingę do pochwy i lekko przrzucił prawą nogę nad siodłem, sprężyste lądując na ziemi. Gdy zabierał się do podciągnięcia strzemion na puśliskach, oślepił go blask – wszystko zapłonęło jak magnezja. Drzewa, niebo, koń, trawa, nawet jego prawa dłoń, którą dociągał rzemień, zniknęły w oślepiającym błysku.

\*\*\*

– Joachimie.

– Panie.

– Nie posłuchałeś mnie.

– Nie, panie.

– Zdecydowałeś. Mogliśmy spotkać się tutaj za parę chwil, w innej sytuacji, wtedy mógłbym ci wybaczyć. Jednak moja miłość nie sięga tak daleko. Potępiam cię, bo sam się potępiłeś. Odejdź ode mnie, nie chcę cię widzieć. Precz. Więcej się nie zobaczymy.

– Panie...

– On już wybrał dla ciebie piekło. Wrócisz tam i będziesz żył, bez szansy na odkupienie. Chciałeś stanąć ponad dobrem i złem – oto spełni się twoje pragnienie. Nie będzie już dla ciebie dobra i zła. Cokolwiek uczynisz, jesteś już potępiony. Możesz być jak święty, możesz jak sam diabeł – dla ciebie nie ma już grzechu, nie ma już łaski. Jesteś martwy, chociaż będziesz żył jak inni. Twoja dusza jest już martwa. Dla ciebie to nie będzie życie, to będzie twoje piekło. Nie przerwiesz go, nie zginiesz, chociaż lękał będziesz się śmierci, nie umrzesz, chociaż będziesz się starzał, nie pozabawisz się życia sam, chociaż po wielokroć spróbujesz. Nie będziesz wiedział na czym polega twoje piekło. Będziesz cierpiał na wieki. Będziesz piekłem dla innych.

– Panie, ja...

– Precz. Nie spróbujesz mojej uczty.

\*\*\*

Jorge hrabia von Zelewski wjechał na polanę jako pierwszy. Andaluzijski ogier świetnie radził sobie z nierówną ścieżką, lepiej niż konie reszty oddziału. Hrabia w prawej ręce ścisnął pałasz, lewą osadził konia, kiedy tylko zobaczył rotmistrza von Egern stojącego na polanie z dziwną, otepiałą miną i pustymi, niewidzącymi oczami. Rotmistrz w jednej ręce trzymał pistolet, lecz kurek był opuszczony na panewkę. Zelewski, zdziwiony, puścił pałasz na temblak i sięgnął do krótkiego sztucera, zwisającego na bandolierze.

– Panie von Egern! – krzyknął, celując w Joachima.

Rotmistrz powoli obrócił głowę w stronę hrabiego. Struzka śliny z kącika rozdziawionych ust pociekła na brudny szamerunek dolmanu. Zelewski ścisnął wierzchowca łydkami i, nie odsuwając kolby od ramienia, podjechał stępem do rotmistrza.

– Panie von Egern! Rotmistrzu! – krzyknął ponownie.

Po chwili puścił karabinek i sztychem strącił Joachimowi bermycę. Gdy ten nie zareagował, podjechał jeszcze krok bliżej i trzasnął huzara w łeb rękójścią. Rotmistrz Joachim von Egern bez czucia zwałił się na ziemię.

\*\*\*

Joachim siedział na prawej pryczy, z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując golenie wychudłymi ramionami. Jaime de Astarloa przechadzał się po celi, dokładnie odmierzając i licząc kroki. Wreszcie zatrzymał się i zapytał:

– Więc mówisz, Joachimie, że po tym, jak popełniłeś te wszystkie okropne zbrodnie, strzeliłeś sobie w łeb na polanie, aby następnie odżyć? – stary fechtmistrz już nie tytułował Joachima „paniczem”.

– Tak, mistrzu – von Egern skinął głową.

– Wiem, że nie kłamiesz. Sądzę, że zwariowałeś. Nie wiem, ile jest prawdy w twoich słowach. Wierzę, że to, co opowiedziałeś mi o swoim szalonym, barbarzyńskim rajdzie przez południowe prowincje nie jest kłamstwem. Człubym do ciebie odrazę, gdyby nie to, że jesteś moim uczniem. Wystawiłem ci najwyższą notę, bo na taką zasługiwałeś, a nie uczyłem cię przecież tylko pchnięć i zasłon, lecz również honoru na prośbę twojego ojca, który zaszczycał mnie swoją przyjaźnią. Tym samym odpowiadam za twoje czyny, tak jak mistrz murarski odpowiada za to, jak kładzie cegły jego czeladnik. Ukształtowałem cię tak, jakbym kształtował własnego syna i uznałem za swoje wielkie zwycięstwo. Dziś widzę, że byłeś moją ogromną porażką.

– To nie wasza porażka, mistrzu. Wy byliście najlepszym nauczycielem. Uczyliście złego przedmiotu. Mówicie, że jesteście za mnie odpowiedzialni, jak murarz za czeladnika. Lecz czy murarz, który nauczył swego ucznia budowy domów z kamienia najlepiej jak się da, może czuć się winien, gdy zawali się temu uczniowi dom z drewna? Uczyliście mnie murarstwa, a tymczasem potrzebni byli cieśle. Próbowałem ciąć pnie drzew i układać jak kamienie, ale tak nie da się zbudować domu.

– Kim jesteś najpierw: moim uczniem, czy szlachcicem, czy może czymś innym?

– Jestem diabłem. Ale jestem waszym uczniem, mistrzu.

– Dobrze więc.

Stary fechtmistrz wstał z pryczy, zrobił dwa kroki i wymierzył Joachimowi siarczysty policzek. Kłaśnięcie odbiło się od sklepienia zwielokrotnionym echem, wybrzmiało w korytarzach.

– Potraktowałem cię jak ucznia, nie szlachcica. Pamiętaj zatem, smarkaczu, postanowiłeś zostać antychrystem, dobrze, to nie moja rzecz. Nie jestem katechetą, jestem szermierzem. Nie uczyłem cię etyki, lecz honoru. Chociaż jest to dosyć trudne, można być człowiekiem złym, a na pewno niemoralnym, pozostając człowiekiem honoru. Nieco łatwiej jest być przyzwoitym człowiekiem, honoru nie posiadając. Jednak ty przekroczyłeś granicę, stałeś się podły, a podłość wyklucza honor. Dlatego jesteś moją porażką. Nie jestem Bogiem ani strażnikiem moralności, Bóg nie jest gentlemanem. Nie osądzam cię za łamanie dziesięciu przykazań. Przecież nauczyciel muzyki nie ocenia swego ucznia za to, czy strój nosi gustowny, lecz za umiejętność gry na klawikordzie. I ja osądzam cię za sprzeniewierzenie się temu, czego cię uczyłem. Podniosłeś rękę na kobietę. Prowokowałeś najniższe postęпки, być może twoja pycha się nasyciła, ale honor to zupełnie coś innego.

Joachim milczał, wpatrując się w swoje bose, brudne stopy. Don Jaime przemawiał dalej:

– Posłuchaj, bo to moja ostatnia nauka dla ciebie. Honor jest jak dziewictwo – raz utraconego nie odzyskasz. Można go również stracić bez swojego w tym udziału i bez winy – tak jak zgwałcona dziewczyna nie jest już dziewicą, mimo że nie dopuściła się rozpusty. Czasem literaci piszą o „odzyskaniu honoru”. Ktoś został obrażony, lecz odzyskał honor, bo wyzwiał obrażającego na pojedynek. Nie jest to prawdziwa honoru utrata, lecz jego zawieszenie, poddanie próbie. Obrażony ma przed sobą dwie drogi: utrzymanie, czy jak wolisz może, odwieszenie honoru, albo jego utratę. Raz zaniechasz pojedynku, gdy jest potrzebny – honor utraciłeś, już go nie odzyskasz. Nawet gdyby wszyscy o tym zapomnieli, wszyscy świadkowie umarli, nikt już o tym nie wiedział. Filozofowie mawiają, że honor to

sprawa społecznego konsensusu, wzajemnego uznania swojej godności przez ludzi godnych. Pewien jestem, że nie znajdziesz wśród tych bakalarzy szlachcica! Honor jest w nas, ale jest większy od nas. Raz go stracisz, a nawet gdyby największy poeta napisał na twoją cześć poemat trzynastozgłoskowcem, gdyby sam cesarz prosił cię na sekundanta – honoru nie masz. I tyle. Więcej o tym nie rozmawiamy. Nie chcę słuchać o twoich czynach, mam nadzieję, że słusznie cię za nie ukarzą, albo, jeśliś obłąkany, ulecą. Zrozumiałeś?

– Tak, mistrzu.

– Nie tytułuj mnie więcej mistrzem. Nie zasługujesz, by być moim uczniem. A ja nie zasługuję na to miano. Nie jestem lepszy od ciebie. Nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat.

Joachim milczał. Po kwadransie postanowił zapytać:

– Na inne tematy jednak możemy rozmawiać?

– Owszem. Przecież jesteś moim towarzyszem w celi, a mimo wszystko zapewne nie przestałeś być inteligentnym chłopcem, więc milej upłynie mi czas na konwersacji, niż na milczeniu – odpowiedział Astarloa.

– Dlaczego pan się tutaj znalazł?

– Dlaczego się tutaj znalazłem? Bo się pomyliłem.

– Jaka to pomyłka?

– Ach! Widziałeś, co dzieje się w mieście?

– Tak. Coś dziwnego, coś, czego nie rozumiem. Bunt?

– Nie, Joachimie. To rewolucja. Jej początek, albo raczej początek jej apogeum, bo tak naprawdę to ona trwa tutaj od kilkadziesiąt lat.

Stary fechtmistrz podszedł do stołu i gestem przywołał Joachima do siebie.

– Dasz chyba radę się podciągnąć? – wskazał na niewielkie biforium pod krzyżowym, gotyckim sklepieniem, podwójne okienko, wychodzące na dziedziniec Schloss.

– Tak. Chyba tak... Jestem trochę zmęczony po tym marszu.

Rotmistrz wszedł na przymocowany do ściany stół, wspiął się na palce, chwycił kraty i podciągnął się bez trudu.

– Schudłem. Mogę tak wisieć chociażby godzinę – powiedział.

– Dobrze. Co tam widzisz? – zapytał don Jaime, siadając na pryczy. Mówiąc, nie patrzył na Joachima, tylko z niezwykłym zainteresowaniem oglądał swoje paznokcie.

– Dziedziniec. Żołnierzy.

– Co robią?

– No... stoją, po prostu.

– Tak po prostu? Żołnierze? Przypomnij sobie, przecież jesteś oficerem! Co zazwyczaj robi żołnierz, gdy nie ma co robić? – don Jaime pytał, jakby egzaminował ucznia z teorii szermierki.

– Jedzą, śpią, albo grają w karty. Chyba, że to długi odpoczynek i są kobiety. Wtedy biją się o baby, a potem je chędożą.

– Tak. A ci co robią?

– No... właśnie stoją.

– Jak stoją? Pojedynczo?

– Nie. Grupkami. Tak jakby... coś knuli.

– No właśnie. Widzisz, Joachimie, w tym rzecz. To są prości wojacy, synowie chłopów i rzemieślników. Gdyby stali bliżej, usłyszałbyś o czym dyskutują. Zwykły żołnierz może czasem szemrać przeciwko swemu dowódcy. Nawet wtedy skupia się jedynie na tym, żeby nie chłostano, albo żeby było co zjeść, albo co wychędożyć, bo od pół roku w żadnym burdelu nie byli. Tymczasem, ci tam, chłopscy synowie, używają takich słów jak „wolność”, „suwerenność ludu”, „tyrania”, „równość”, „egalitaryzm” i „demokracja”. Mój przyjaciel,



pisarz, powiedział mi kiedyś, że rewolucja wybuchnie, bo lud zaczął myśleć i działać jak literaci.

– A co to ma wspólnego z pańskim pobylem w Schloss? – Joachim zeskoczył na podłogę.

– Ach, to proste – fechtmistrz uśmiechnął się wyrozumiale. – Jestem na tyle spostrzegawczy, żeby zauważyć, że insurekcja wisi na włosku i wybuchnie lada chwila. Wiem również, że takich momentów historii nie można zlekceważyć. Nie da się zachować neutralności. Całym sercem jestem zwolennikiem starego porządku. Ale stary porządek już nie istnieje – pozór to nie rzeczywistość. Przeciwno motłochowi stanie zblazowana i zdegenerowana arystokracja, niegodna, by mieszkać w zamkach swoich rycerskich przodków. Postanowiłem zatem przeczekać. Zabiłem w pojedynku jednego łotra, po czym pomaszzerowałem prosto do sądu. Przyznałem się do swojego czynu i pokazałem edykt cesarza Maximilliana z 1542 roku, zakazujący pojedynków. Zażądałem zamknięcia mnie w Schloss. Niestety, pomyliłem się. Łudziłem się, że armia nie ulegnie temu zrywowi. Pewnie miałbym rację, gdyby chodziło o pułk, w którym ty służyłeś, albo w ogóle o wojsko, które walczy na prowincji. Tymczasem żołnierze w stolicy to jedno z głównych ognisk buntu. Chłopi w mundurach. Schloss będzie zdobyte. Z nas zrobią ofiary starego porządku i bohaterów nowego. To może stać się dzisiaj, albo za rok, ale stanie się na pewno. Ja nie zamierzam się przyłączać do motłochu. Do machania piłą, czy osadzoną na sztorc kosą, szermierka nie jest potrzebna. Dlatego pewnie mnie zabiją. Jestem szlachcicem, a szlachcic dobry jest tylko wtedy, gdy stara się być bardziej rewolucyjny od rewolucjonistów. Tego zaś uczynić nie zamierzam. Powiedziałem ci na samym początku – nie sądzę, abyś znalazł się tutaj przez przypadek. Tak się składa, że znakomicie pasujesz do tych czasów, Joachimie. A teraz połóż się, chcę mieć spokój.

Joachim posłusznie zaległ na pryczy, przykrywając się cienką derką. Don Jaime de Astarloa stanął w przejściu między pryczami w pozycji szermierczej i rozpoczął ćwiczenia. Joachim odwrócił się do ściany i wpatrywał w padający na kamienny mur cień tamtego – wyraźny, chociaż rozedrgany w wątlym świetle świecy. Pozycja zasadnicza, salut wyimaginowaną szpada, prima. Słyszał monotonne pacnięcia pantofla o posadzkę – wypad, powrót, wypad, powrót, wypad, powrót, tap-tap, tap-tap, tap-tap. Cień wyglądał jak ryciny w starym hiszpańskim podręczniku szermierki. Obcisły strój podkreślał ułożenie ciała i kończyn, zaś fechtmistrz zastygał na pół sekundy po każdym ruchu.

Powoli i metodycznie odtwarzał całą swoją wiedzę. Od podstaw: wypad z pchnięciem, podstawowe zasłony – prima, sekunda, tercja, kwarta, przez kolejne pchnięcia, aż po coraz bardziej skomplikowane finty, wolty, i kombinacje różnych technik. Wyprostowany palec prawej dłoni wskazywał na pozycję ostrza wyimaginowanej szpady. Ruchy szlachcica były niespieszne, spokojne i pewne – nie zachwiał się ani razu, nie potknął, nie wyciągnął dłoni o cal za daleko ani o cal za blisko.

Don Jaime de Astarloa, najlepsza szpada cesarstwa, wkładał w te ćwiczenia całe mistrzostwo swojego rzemiosła. Joachim zrozumiał. To była ostatnia lekcja, jakiej postanowił udzielić mu stary szermierz. Pożegnanie z byłym uczniem. W końcu huzar usnął – świece zgasły, a fechtmistrz dalej ćwiczył.

\*\*\*

Pierwszy promień słońca, wpadający do celi przez okienko u powały, obudził Joachima. Don Jaime z oczami zamglonymi ze zmęczenia, lecz bez śladu potu na czole, ćwiczył skomplikowany układ. Nie stosowano tej techniki w pojedynkach, gdyż wymagała użycia lewej ręki, czego kodeks honorowy zabraniał jednoznacznie. Była jednak bezwzględna

i skuteczna, świetnie więc nadawała się do obrony przed bandytami, zwłaszcza że można było ją wykonać również bez broni, walcząc gołymi rękami.

Joachim uniósł się na pryczy i w tym samym momencie całym Schloss targnął potężny wybuch. Tłum wysadził bramę przy użyciu dwóch beczek prochu zrabowanych z koszar gwardii pałacowej.

\*\*\*

Siedzieli w celi, przysłuchując się odgłosom rewolucji. W kilkadziesiąt sekund po wtargnięciu do Schloss, motłoch zaczął mordować załogę. Joachim, podciągnięty na kratach, obserwował jak tłum rozrywał na strzępy odzianych w cesarskie mundury żołnierzy i oficerów. Ci sami, którzy jeszcze wczoraj spiskowali na dziedzińcu, teraz, pchani szaleńczym strachem, łamali sobie paznokcie i palce, wspinając się na mury twierdzy. Te jednak zbudowano z równo ciosanych kamieni. Tłum dopadał każdego, kilkadziesiąt rąk chwyciło nieszczęśnika, kłuło nożami, cięło, szarpało, aż człowiek zamieniał się w ochłapy. Nie dało się wskazać momentu, w którym dosięgała ich śmierć. Po prostu przestawali być, tracąc najpierw uszy, nosy, potem kończyny, aż wreszcie kończąc jako makabryczne naszyjniki z jelit na szyjach odurzonych krwią i alkoholem kobiet.

Joachim zauważył wśród nich tę, która wczoraj częstowała więźniów winem. Śmiała się głośno. W jednej dłoni trzymała odrąbaną głowę żołnierza, w drugiej zaś jego przyrodzenie. Wzbudzała powszechną wesołość, wpychając członka w usta odciętej głowy.

W końcu nie było już kogo ścigać, więc tłum, gnany wewnętrznym ciśnieniem, jak sprężane powietrze, zaczął wlewać się do podziemi Schloss. Kilku strażników nie miało najmniejszej szansy stawić czoła rozpędzonej tłuszczy i nie dopuścić do otwarcia cel. Siedzący w pierwszej fałszerze natychmiast przyłączyli się do motłochu – niesiono ich na ramionach, wiwatowano na cześć męczenników. W następnej celi siedział szlachcic – rozpustnik. Okrzyki „Niech żyje rewolucja” wznosił od samego początku, więc kiedy otwarto drzwi, tłum entuzjastycznie przyjął kolejnego zwolennika nowego ładu, póki fałszerze nie zaczęli wrzeszczeć:

– To szlachcic!

– Owszem, urodziłem się szlachcicem, lecz już jako dziecko zrozumiałem, że sam jak chłop i mieszczanin, że nic we mnie nie ma lepszego. Jestem waszym bratem, nienawidzę cesarza i księży tak samo jak wy, dlatego mnie tutaj zamknięto – tłumaczył się arystokrata pospiesznie.

– Szlachcic to szlachcic, zabić go! – ryknął jeden z niesionych na ramionach fałszerzy.

– Ale ten płwa na swoje szlachectwo, nie zabijajmy go! – zaoponował ktoś z tłumu.

– Niech dowiedzie, że kocha rewolucję! – krzyknął ktoś inny.

– Niech prosi o przebaczenie! Na kolana!

Siwowłosa baron posłusznie padł na kolana. Z tłumu wystąpiła rudowłosa dziewczyna, ta sama, która bawiła się głową żołnierza. Podeszła do upokorzonego szlachcica, zadarła spódnicę i wystawiając ku niemu swój srom, wrzasnęła:

– Tu niech całuje rewolucję, to może mu wybaczymy!

Gdy baron posłusznie spełnił rozkaz, nałożono mu na głowę czerwoną czapkę i wśród kuksańców, splunąć i poklepywać, przepychano na dziedziniec. Choć kuksańce bynajmniej nie były lekkie, baron znosił je bardzo szczęśliwy, stanowiły niewielką cenę za ocalenie. Tłum zaś zaczął szturmować drzwi pozostałych cel.

Don Jaime stanął o dwa kroki od wejścia, luźno opuściwszy ręce. Joachimowi nakazał wejść na stół pod oknem. Gdy pod naporem rąk drzwi wyskoczyły z zawiasów, rewolucjoniści zatrzymali się skonfundowani. Nie wiedzieli, co czynić w obliczu człowieka, który nie ucieka, nie próbuje się bronić, a po prostu stoi. Po chwili, krok do przodu wystąpił

postawny mężczyzna w rzeźniczym fartuchu o głowę wyższy od don Jaimego. W rękach dzierżył zdobyty na żołnierzach karabin z bagnetem.

– Jesteś z nami, czy przeciw nam? – ryknął.

Astarloa stał, opierając ciężar ciała na prawej stopie skierowanej ku drzwiom. Kiedy rewolucjonista pchnął bagnetem w pierś fechtmistrza, ten chwycił lufę karabinu prawą dłonią, jednocześnie wykonując półobrót. Ostrze bagnetu przebiło powietrze, zaś don Jaime lewą stopą uderzył pod kolano napastnika i szarpnął broń, wytrącając wielkoluda z równowagi i rozbrajając zarazem. Rzeźnik poleciał na twarz. Karabin wykonał w powietrzu obrót jak na paradzie, i bagnet przebił plecy padającego olbrzyma. Ruchy szermierza były spokojne i wystudiowane. Poruszał się tak samo, jak kilka godzin wcześniej, kiedy ćwiczył tę technikę.

Ruszył do przodu. Kolbą uderzył w twarz stojącą w drzwiach rudą, ogłuszając ją i pozbawiając kilku zębów. Bez trudu odbił siekiere, jaką chciał go zdzielić krępy brodac i przebił bagnetem kolejnego rebelianta. Na korytarzu podniósł się wrzask – po raz pierwszy ktoś się broni! Don Jaimego opadło kilku ludzi, tylu, ilu mogło zmieścić się w ograniczonej przestrzeni. Fechtmistrz nie poruszał się już niespiesznymi ruchami z sali szermierczej. Pochylił się i przemykając pod ramionami napastników, lewą dłonią wyszarpnął krótką, żołnierską szablę zza pasa jednego z nich. Zaczął siec i rąbać, cały czas wymykając się przeszkadzającym sobie nawzajem wrogom. Zabił trzech.

Ktoś chwycił go od tyłu. Dwóch innych rzuciło się, aby pomóc kompanowi – opadli don Jaimego, przewrócili się wszyscy. Z kotłowniny wypadł nagle jeden, z rozplatanym gardłem, zaraz po nim następny z zapaśników zerwał się z rykiem. Zamiast policzka miał ogromną, krwawą dziurę, w której widać było zęby. Astarloa ugryzł go z całej siły, wrywając tkankę. Kiedy stłoczeni na korytarzu ludzie zobaczyli swojego odważnego towarzysza ryczącego z bólu i strachu, ktoś wrzasnął – „uciekajmy”. Tłum jest równie łatwo przestraszyć jak rozgniewać. Nagle wszyscy poddali się panice, biegnąc do wyjścia i tratując się nawzajem.

Na podłodze celi fechtmistrz siłował się z trzecim rewolucjonistą. Odebrał potężnemu chłopu rybacki nóż i tym krótkim, zakrzywionym ostrzem poderżnął mu gardło. Wreszcie podniósł się z podłogi, strząsając z siebie trupa. Ubranie miał potargane i poplamione krwią. Krew miał również na twarzy – ściekała mu z ust.

– Żegnaj – powiedział do Joachima.

Podniósł z ziemi krótką szablę i lekkim krokiem ruszył przed siebie. Po chwili z korytarza słychać było wrzaski mordowanych.

Joachimem nikt się nie interesował, więc ten chwilę siedział w kucki na stole – jak wielkie, przerażone ptaszysko. A kiedy przez parę minut nic się nie wydarzyło, nieśmiało zszedł i zrobił parę kroków. On, Joachim von Egern, rotmistrz huzarów, kawaler Orderu św. Stefana, szef pierwszego szwadronu w swoim pułku, dumny właściciel szesnastu węzłów na kordonie przy bermycy – szesnaście razy szarżował ze swoim szwadronem w pierwszym szeregu, z szablą w dłoni, cztery razy był ranny. Prawdziwy huzar, prawdziwy kawalerzysta, prawdziwy żołnierz. On, Joachim von Egern, bał się jak mały chłopiec.

Kiedy Astarloa siłował się z trzema rewolucjonistami na podłodze – Joachim nie zareagował. Patrzył nań tak, jak mały chłopiec patrzy na ojca, broniącego go przed niebezpieczeństwami.

Von Egern podniósł leżący na ziemi karabin, którym walczył don Jaime, odwiódł panewkę – broń ciągle była nabita. Odciągnął kurek i przestąpił próg celi. Korytarz cały umazany był krwią. Obok ciał zmasakrowanych strażników, wzdłuż korytarza leżało kilka trupów z ranami od szabli. Don Jaime był okrutny, o dwa kroki od Joachima czołgał się młody chłopiec w czerwonej czapce. Cięcie rozplatało mu brzuch. Młokos płakał głośno,

czołgając się na jednej ręce, drugą podtrzymując wylewające się jelita. Joachim znalazł takie rany. Młodzieniec będzie długo umierał i zwariuje z bólu, jeżeli nikt go nie dobije.

Von Egern nie był jednak zdolny do zdecydowanego działania. Przekroczył skowyczącego chłopca i ruszył w górę korytarza. Zaglądał do cel – były puste. Jedyne w pomieszczeniu o ścianach pokrytych szyfrem w kącie siedział skulony starzec. Gdy zobaczył Joachima, odezwał się po raz pierwszy od czterdziestu lat:

– Proszę... cię... panie. Zamknij... te drzwi – wyszeptał rwącym się głosem.

Rotmistrz podszedł do nieszczęśnika, przyklęknął przy nim, przyglądając się uważnie, i zapytał:

– Kim jesteś?

– Jestem... jestem...

– Kto? – indagował Joachim.

– Zamknij... drzwi. Proszę... Cella nie może... nie może być otwarta...

– To koniec tego więzienia. Więzienia były wędzidłem dla ludu, aby utrzymać go na trakcie państwa. Lud się znarowił i zerwał, więc nie potrzeba mu już wędzideł. Jesteś wolny – powiedział cicho Joachim bez radości w głosie.

– Jesteś głupcem – wyszeptał tamten z wysiłkiem.

– Dlaczego?

– Więzienie... to wszystko... jest więzieniem. Więzienie... więzienia będą... zawsze. Zamknij... drzwi... za sobą. Już godzina, jak... nie piszę... Zamknij drzwi.

Joachim wycofał się za próg, po czym spełnił prośbę szaleńca. Z celi dobiegł go głos starca:

– Na klucz! W więzieniu... drzwi... muszą być zamknięte na klucz!

– Ależ umrzesz tutaj z głodu! Nie ma już strażników, nikt nie poda ci zupy!

– Głupcze... głupcze... na klucz! Strażnicy są zawsze! Więzienie jest wieczne.

Rotmistrz przekręcił klucz w zamku i ruszył schodami w górę. Stopnie zakręcały ciasno jak w wieży kościelnej. Za kolejnym zakrętem znalazł dwa trupy. Jeden z rebeliantów padł cięty w kark, drugi miał głęboką ranę między łopatkami.

Astarloa nie walczył, tylko mordował, pomyślał Joachim. Rąbał kmiotów szablą w plecy!

Nie widząc możliwości wykorzystania długiej broni w wąskiej, spiralnej klatce schodowej, zdjął bagnet z lufy i chwycił go mocno za jarzmo, aby w razie potrzeby użyć jak sztyletu. W końcu wyszedł na dziedziniec.

Don Jaimego nie było. Po placu pętali się rewolucjoniści – kilku siedziało, pijąc wino z butelek, pewnie zrabowanych z magazynu, pijany szewc wznosił wojownicze okrzyki, tak bełkotliwie, że nie dało się zrozumieć poszczególnych słów. Joachim natknął się na kolejne trupy, w większości strażników, wszystkie straszliwie zmasakrowane. Kilku rannych leżało pod ścianami, nikt ich nie opatrzył, nikt też nie dobił. Pod ciągnącymi się na północnej ścianie dziedzińca arkadami zauważył konia. Niewielki gniadosz, wałach, na grzbiecie miał jeszcze wojskowy rząd z czwórką na mantelzaku.

Czwarty ułanów. Krestvińcy? Albo czwarty szwoleżerów. Dobrze byłoby mieć wierzchowca i uciec stąd, pomyślał Joachim. Wiedziony nagłym przecuciem podszedł do zwierzęcia, a gdy zobaczył łeb i kark wałacha, stanął jak wryty. Ktoś porąbał go szablą. Ciosy nie były silne, nie zabiły konia, pozbawiły go jednak uszu, wybiły oczy, rozplątały pysk, porozcinały skórę i mięso. Obok leżały bezgłowe zwłoki dawnego właściciela. Zabito go chyba, gdy już siedział w siodle.

Dla kawalerzysty koń to świętość. Huzar nie użyje szabli przeciwko wierzchowcowi wroga, nawet gdyby miało to uratować mu życie. Gdy lecą dwa ciosy – jeden na jeźdźca, drugi na konia, huzar odbije ten skierowany przeciwko swemu rumakowi.

W bitwie pod Nogay huzarzy Joachima zabezpieczali flanki sześciorzędowej linii grenadierów, wzmocnionej artylerią. Przeciwno tej ścianie luf jakiś głupiec nakazał szarżować francuskim dragonom, którzy wspomagali powstanie. Linie dzieliło pół mili. Dowódca dragonów zwinął oddział w dziesięć kolumn i ruszył klusem, by po przebyciu połowy dystansu dać sygnał do galopu. Dwie minuty, może mniej.

Działa strzeliły kartaczami dopiero, gdy jeźdźcy byli na dwieście kroków. Armaty wycelowano tak, by raniły wierzchowce, nie jeźdźców. Pierwsza salwa skosiła z miejsca dwa pierwsze szwadrony. Kiedy reszta znalazła się na osiemdziesięciu krokach, galopując po swych rannych i martwych kolegach, pułkownik wrzasnął „Ognia”. Tysiąc kul z karabinów piechoty starło dragonów na proch. Zawrócić zdołało kilkunastu.

Rekruci, których sporo było wśród grenadierów, patrzyli na to z rozdziawionymi gębami, ale weterani, jak rotmistrz i jego huzarzy, przyglądali się wszystkiemu ze spokojem. Ot, głupi rozkaz i jego konsekwencje. Kiedyś im przyjdzie tak pojechać pod lufy, jak było na rzeź. Szwadron Joachima wysłano na przedpole z rozkazem pojmania jeńców.

I wtedy zobaczyli to, czego nie było widać z daleka – kilkaset rannych zwierząt. Wszystkie z pogruchotanymi, lub pourywanymi nogami. Ryczały z bólu. Huzarzy słyszeli już dzikie rzenie rannego konia, ale nigdy nie znaleźli się w środku takiego przerażającego chóru. Joachim nie wytrzymał. Wydał rozkaz i kawalerzyści zaczęli dobijać ranne wierzchowce. Na ludzi nie zwracali uwagi. Szwadron huzarów, setka twardych, bezwzględnych wiarusów – wszyscy mieli łzy na policzkach, wielu szlochało, gryźli wąsy, klęli z gniewu i wrzeszczeli z wściekłości. Kiedy wrócili na pozycję, Joachim dostał reprimendę od generała-majora, bardziej pro forma jednak, niż rzeczywistą naganą.

Po bitwie natomiast podszedł do huzarów mały oficerek artylerii, o włoskim nazwisku, i zaczął zawzięcie tłumaczyć, jak wielki błąd popełnił Joachim, wystawiając oddział na takie ryzyko. Trzeba było poczekać, aż to samo zechce zrobić nieprzyjaciel i wtedy uderzyć z flanki, a nie „ryzykować dla koni, okazując tym samym miękkość serca nie przystojąca żołnierzowi”. Tylko dzięki interwencji trzech podoficerów, którzy byli wtedy w namiocie, Joachim nie zarabiał artylerzysty na miejscu. Wachmistrzowie przygnietli swego dowódcę do ziemi, a jeden wypchnął Włocha z namiotu. Po godzinie odszukał go sekundant Joachima.

Pojedynek miał odbyć się według najcięższej reguły – najpierw szable, potem szpady, na końcu zaś pistolety, z dystansem zmniejszonym o pięć kroków co dwa strzały, więc, jak to mawiano, do skutku. Na nic się to jednak zdało. Joachim w pierwszym zwarciu odrąbał oficerkowi rękę. Oczywiście artylerzysta zrezygnował z dokończenia pojedynku. A ponieważ jego nazwisko z włoskiego tłumaczyło się jako „dobra część”, dworowano później z niego, że jedyną swoją dobrą część pozostawił tam, na udeptanej ziemi. Pół roku później, gdy wrócił do zdrowia, zapragnął strzelać się z Joachimem. Rotmistrz trafił go pierwszą kulą w pierś, a umierającemu wyszeptał do ucha: za konie, łajdaku.

Stojąc na dziedzińcu Schloss, Joachim gapił się na rannego wałacha wstrząśnięty. Bestialstwa, które oglądał przez okienko celi nie zrobiły na nim wrażenia – widział wiele bitew i tysiące trupów. Dopiero, patrząc na porąbany koński łeb uświadomił sobie istotę tego okrucieństwa. Było bezcelowe. Zabija się w bitwie, by osiągnąć jakiś cel – zdobyć teren czy miasto, rozbić wrogą armię. Jeżeli przeciwnik podda tyły, to można zwyciężyć nawet bez jednego wystrzału. Kiedy ojciec Joachima służył w wojsku, wiele bitew tak właśnie rozstrzygano. Istota wojny sprowadzała się do udanego manewru. Życie wyszkolonego żołnierza było wiele warte, więc dowódca, który znalazł się w niekorzystnej pozycji, wołał się wycofać, niż tracić wojsko. Bitwy przypominały gigantyczne partie szachów, rozgrywane tysiącami ludzi.

Kiedy Joachim zadawał śmierć, podczas swego rajdu przez południowe prowincje, był jak sędzia i kat. Odbierał życie beznamiętnie, aby ukarać i dać przykład. Tutaj zaś zabijano z

żądzy krwi. Wąż służyłby dobrze każdemu jeźdźcowi, nie wnikając w poglądy polityczne swego właściciela. Lecz w siodle siedział cesarski dragon, a na czapraku widniał cesarski orzeł, wierzchowiec zatem również był winien. Rotmistrz nie mógł znieść tego widoku ani chwili dłużej. Podniósł karabin do ramienia i strzelił zwierzęciu w łeb. Wierzchowiec klęknął na przednie nogi, by wreszcie uderzyć głucho o kamienny bruk. Wyglądał tak, jak zawsze wyglądają zabite konie – nieporadnie. Zastrzelony niedźwiedź czy wilk dalej zachowuje w sobie siłę. Leży, jakby spał, szczerząc kły, niosąc w sobie wspomnienie dawnej potęgi. Martwy koń wygląda tak, jakby nigdy nie był zdolny do galopu – pękaty, okrągły korpus, z którego nieporadnie, poziomo w bok, sterczą patykowate nogi, nagle zbyt chude, aż trudno uwierzyć, że te kruche badyle mogły unieść tak wielkie cielsko i jeźdźca na dodatek.

Nikt nie zareagował na huk wystrzału. Joachim rzucił karabin na ziemię i wyszedł ze Schloss główną bramą. Wielu go widziało, nikt jednak nie zwrócił uwagi na szczupłego, średniego wzrostu mężczyznę, z potarganymi huzarskimi warkoczykami, rzadkim zarostem, bosego, odzianego w wojskowe rajtuzy i wymiętą koszulę. W tych czasach bosa obdarty w resztkach wojskowych łachów były równie powszechne w mieście co i odgłosy strzelaniny.

Większość ze „zdobywców” Schloss tłoczyła się nieopodal, obok trzech przyzwoicie odzianych mężczyzn, siedzących za stołami, pokrytymi zielonym, aksamitnym sukniem. Przed każdym z nich, z wyglądu prowincjonalnych adwokatów, leżał wielki arkusz czerpanego papieru, z lakowymi pieczęciami Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego. Sam Komitet powstał wprawdzie przed godziną zaledwie, lecz tłoki pieczętnie były gotowe już dawno. Adwokaci wpisywali na karty nazwiska, z krótkim komentarzem na temat roli, jaką taki a taki odegrał w zdobyciu „symbolu cesarskiego ucisku i samowoli”. Rewolucjoniści podpisywali się przy swoich nazwiskach najczęściej trzema krzyżykami – co ciekawe, nie przeszkadzało im to dyskutować między sobą o Rousseau – i otrzymywali pisemne „zaświadczenie wzięcia udziału w zdobyciu Schloss”. Anarchia jest zadziwiająco bliska biurokracji.

\*\*\*

Dzień w ogarniętym rewolucją mieście jest gorszy niż bitwa. W bitwie najpierw się długo czeka, stoi na deszczu lub w słońcu, potem każą maszerować dwie mile, potem znowu się czeka, potem nagle widać wroga, więc każą nacierać, i sama walka, bezpośrednie niebezpieczeństwo trwa tylko przez krótką chwilę. Oczywiście gorzej, kiedy dowódca jest wariatem. Który chcąc ukarać swój pułk za rzekome tchórzostwo, czy choćby brudne lederwerki u jakiegoś chłopca stajennego, pośle wojsko w szyku pod ogień artylerii i każe stać jak na paradzie, podczas gdy kartacze zdziesiątkują mu ludzi. Tak czasem bywa. Godzina pod ogniem gorsza jest od całego roku wojny. A cały dzień pod ogniem? To się nie zdarza, chyba że właśnie w ogarniętym rewolucją mieście. Prawda, nikt nie bombarduje stolicy – ale kilka tysięcy uzbrojonych budowniczych nowego ładu, którzy ciągną za sobą męty z całego miasta, potrafi sparaliżować milionowe miasto skuteczniej, niż kartaczowy ogień wciska w ziemię pułk jęgrów.

Joachim nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie myślał o grożących mu niebezpieczeństwach. Podarte huzarskie spodnie i złachmaniona koszula to niewiele, dość jednak, by zabić człowieka, gdy załamuje się państwo i za gwałty nie grozi żadna kara. Trupy na ulicach miasta są wtedy zawsze nagie.

Rotmistrz przeszedł powoli opustoszałą ulicą. Znalazł się nad Dunajem. Dziki motłoch, odpłynął ku katedrze, znajdującej się w innej części miasta, jednak aż tutaj słychać było wrzaski i wybuchy. Joachim, zmęczony, zszedł do samego brzegu rzeki, przeskoczywszy murek, oddzielający nabrzeżną promenadę od stromych, porośniętych trawą zboczy. Po chwili znalazł przytulne miejsce – jamę wymytą przez wodę. Osłonięty przed wzrokiem innych, zwinął się w kłębek. Nie czuł radości z odzyskanej wolności. Nie wiedział, co robić.

Dopiero spotkanie z don Jaime przywróciło go do życia. Próbował myśleć o swoim szaleńczym rajdzie na południu i nie potrafił wzbudzić w sobie żadnych emocji. Pamiętał wszystko, wspominał zbrodnie, jakie popełnił, jednak nie potrafił myśleć o sobie jak o zbrodniarzu. Nie czuł się winien, nie czuł się odpowiedzialny – od dziecka miał się zawsze za człowieka o dobrym sercu. Pamiętał widok swojego ramienia, przykładającego ponad końskim łbem pochodnię do strzechy wiejskiej chaty – i tyle, nic więcej. Żadnego gniewu, żadnego poczucia winy.

Kim jestem? Jestem potępieńcem? Upiorem? Żyję przecież, pytał sam siebie, nie znajdując odpowiedzi.

W końcu zasnął. Gdy zamknął oczy, ze skarpy zszedł młody mężczyzna, o subtelnej urodzie i szlachetnych dłoniach. Lud wyrzucił go z katedry. A on usiadł na kamieniu, u wezłowania joachimowego legowiska. Wsparł brodę na dłoniach, popatrzył na śpiącego mężczyznę i zapłakał. Płakał z bezsilności. Chciał pogłodzić zmierzwione włosy, lecz cofnął rękę w ostatniej chwili. Jedynej rzeczy nie potrafił sprzeciwić się wszechmoc – ludzkiej woli.

Joachima obudziło brutalne poszturchiwanie.

– Wstawaj! Ktoś ty? – huknął niski i gruby mężczyzna. Przez pulchną pierś biegła czerwona szarfa, oznaka sił porządkowych rewolucji. W rękę ścisnął pikę, której dolnym, okutym końcem szturchał śpiącego huzara.

– Rotmistrz Joachim von Egern, dziesiąty pułk huzarów, szef pierwszego szwadronu – wyrecytował odruchowo Joachim.

– Aha! Widzieliście, kumie? Ma się ten nos, ha! Szlachcic, do tego żołnierz. I jeszcze na dodatek Madziar, pewnie z cesarskiej gwardii uciekinier! Brać go! – ryknął grubas, machnięciem ręki zachęcając swoich dwóch kompanów do działania.

Joachim odzyskał trzeźwość myśli. Coś się nagle zmieniło – oto był sobą. Oto wrogowie, oto on – znów działał, znów podejmował decyzje. Jeszcze wczoraj potulnie wstałby i usłuchał, teraz czuł się znów zdolny do walki.

Walka to stan umysłu. Przymioty ciała nie decydują o tym, czy się ją podejmuje, i nie tylko one decydują o zwycięstwie. Czasem zwycięstwem jest już samo stawienie czoła wyzwaniu.

Leżąc jeszcze na ziemi przewrócił grubasa potężnym kopnięciem. Zerwał się błyskawicznie, odepchnął drugiego, uderzając go całym ciałem w pierś. Byłby uciekł, gdyby trzeci strażnik porządku nie trzasnął go w plecy trzonkiem piki, wywracając na ziemię i odbierając dech. Po chwili dwóch krępowało go sznurem, podczas gdy grubas przyciskał do ziemi. Ale Joachim był szczęśliwy. Odzyskał siebie! Nie był już potulną owcą, jak cały czas w drodze do Schloss. Niechże go potem zabiją – jest znowu Joachimem von Egern! Dalej walczy. Miotał się z całych sił, utrudniając strażnikom zadanie. Nie przyniosło mu to niczego poza paroma sińcami od razów pałką, ale i tak rozpierała go radość. Oto znowu żyje! Cóż było przyczyną tej nagłej przemiany? Czyżby fakt, że pierwszy raz od tyłu tygodni spał jako wolny człowiek? Czy to, że odpowiadał wreszcie za siebie, jako wolny człowiek? Rotmistrza nie nurtowały te pytania. Kiedy związano mu ręce, tłuszcioch zapytał:

– Pójdiesz już spokojnie? Nic ci nie zrobimy, zabieramy cię pod sąd.

Joachim w odpowiedzi skinął głową. Gdy grubas puścił jego stopy, rotmistrz wyprężył się na plecach i kopnął go w twarz, łamiąc mu nos. Razy jakie tym razem otrzymał były dużo silniejsze. Spętano go jak świnie, i przywiązano do piki. Nie był ciężki – więc nieśli go na ramionach, zmieniając się co jakiś czas. Miał szczęście – strażnikom wyraźnie zakazano zabijać arystokratów. Otrzymali rozkaz dostarczać ich do ujeżdżalni, gdzie stacjonował Tymczasowy Komitet Rewolucyjny.

Joachim nie bał się, bo nie miał się czego bać. Śmierci nie obawiał się wcale, ból potrafił znieść z podniesionym czołem. Pozycja, w jakiej się znalazł, wręcz go bawiła. Cóż to za czasy, oto on, syn hrabiego von Egern, rotmistrz von Egern, oficer i szlachcic, niesiony

przez czterech chamów na tyczce. Jak w lektyce, tyle że do góry nogami, ha, ha, ha! Cały świat staje na głowie, więc on, Joachim von Egern, jedzie w lektyce do góry nogami, ha, ha, ha, ha, ha!

Strażnicy musieli brać go za szaleńca – niesiony na pewną śmierć, związany, śmieje się do swoich myśli! Wariat! Ale cóż tam, kazali odprowadzić, więc odprowadzają. Nie zwrócili uwagi na rudowłosą dziewczynę o opuchniętych wargach, która, gdy tylko zauważyła dziwny bagaż, ruszyła za nimi dziarskim krokiem. Kiedy przystanęli, aby zmienić się przy pice, i odsapnąć trochę, doskoczyła do nich.

– Dokąd go niesiecie?!

– Na sąd, dziwko – odpowiedział jeden ze strażników. – To zbiegły arystokrata...

– Zbiegły skąd, chamie? – zaśmiał się Joachim, nic sobie nie robiąc z upokarzającej pozycji, w jakiej się znajdował.

– Nooo... z rąk rewolucyjnej sprawiedliwości.

– Przecież rewolucja ma dopiero dziesięć godzin. Cóż miałem robić?

– Zgłosić się do samoukarnia. Rewolucja może ma i dziesięć godzin, ale wszystko już było przygotowane od kilku lat. Czekaliśmy na sygnał, jak balon czeka na szpilkę.

– Miałbym sam sobie nałożyć pętlę może i wykopać beczkę spod stóp? Dowcipniś...

Dziewczyna przysłuchiwała się ich rozmowie na pozór obojętnie. Jednak kiedy strażnicy podnieśli pikę, dziewczyna zbliżyła się i pochyliwszy się ku Joachimowi, wyszeptwała:

– Nic się nie bój, widziałam cię w Schloss, będziesz jednym z zapisanych. Nic ci nie zrobią.

Kiedy jeden ze strażników chciał przepędzić ją kopniakiem – dziewczyna zręcznie uskoczyła, śmiejąc się i wykonując nieprzyzwoite gesty. Odczekała chwilę i ruszyła za niosącymi Joachima rewolucjonistami, utrzymując bezpieczną odległość.

Rotmistrz podziwiał miasto z niezwyklej perspektywy, lecz nawet bez niej musiałby przyznać, że bardzo się zmieniło! Na chodnikach, placach i skwerach trwała fiesta, tak niecodzienna dla konkretnych i zasadniczych mieszkańców stolicy. Pijane tłumy przewalały się po ulicach, palono ogniska, gdzieś pieczono wołu, gdzieś maltretowano schwytanych uprzednio, rozebranych do naga kapłanów. Kiedy strażnicy mijali wesołą gromadkę, jednego z księży właśnie zmuszono do kopulacji z pijaną w sztok prostytutką. Pierwszy odmówił i wisiał już na latarni, wciągnięty tam z pętlą związaną na szyi tak, by nie złamał karku. Dusił się powoli, czepiając się dłońmi liny. Joachim już kiedyś widział coś takiego, klecha będzie żył jeszcze kilka kwadransów, zależy, jak silne ma ręce. W końcu osłabnie. Sznur zaciśnie się w końcu, zmiażdży tchawicę aż twarz stanie się sina. Nogi będą kopać powietrze, aby wreszcie po chwili znieruchomieć...

O tak, rotmistrz doskonale znał ten scenariusz, a jednak za każdym razem intrygowało go to, jak uporczywie skazańcy opierali się nieuniknionej śmierci. Wiedzieli przecież, że mdlejące ramiona nie utrzymają ich wiecznie, a jednak walczyli o te kilka łyków powietrza więcej. Jeszcze sekunda, jeszcze dwie, jeszcze raz napęlić płuca. Bezsensowny wysiłek, daremne próby, wiedzieli przecież, że umrą, mimo to walczyli, zamiast skrócić sobie męki.

Gdyby Joachim znał wszystkie szczegóły tej egzekucji, zapewne byłby zaintrygowany jeszcze bardziej. Na latarni konał ksiądz, który nie prowadził czystego życia. Dotykał hostii dłońmi, które wcześniej pieściły ciała sprzedajnych kobiet. Często wymykał się wieczorami i zachodził do zamtułów; uwodził mężatki i zakonnice, nie gardził młódkami. Mógł ocalić życie, kopulując na oczach gawiedzi z pijaną dziwką. Akt niewątpliwie upokarzający, ale czyż nie lepszy od liny zaciskającej się na grdyce? Mógł uznać to za boską karę za swoje czyny, pokutę przez publiczne upokorzenie. Jednak wybrał śmierć. Czasem mierne charaktery okazują wielkość w obliczu sytuacji ekstremalnych. Niektórzy swoje człowieczeństwo budują mozolnie, powoli, poprzez małe wybory w małych sytuacjach. Inni, wcześniej plugawi,



dotykają absolutu i zdobywają dla siebie niebo jedną, bohaterską decyzją. Erupcje okrucieństwa wyostwiają charaktery. Pozwalają dokonać wielkich podłości, to pewne, lecz i aktów wielkiego heroizmu, które nie mieszczą się w codzienności. Tak oto rewolucjoniści, pragnący zamordować księdza, zapewnili mu życie wieczne.

Trybunał rewolucyjny istniał dopiero dziesięć godzin, lecz zdążył już skazać na śmierć kilkaset osób.

Już kilka lat temu dwóm inżynierom zlecono opracowanie efektywnego sposobu wykonywania masowych egzekucji. Dziś nadszedł czas, by plany te zrealizować.

Stolica opierała jedną stronę o Dunaj, z drugiej strony dotykając podnóży niezbyt wysokich, rozłożystych wzgórz. Ich południowe stoki pokrywały winnice, które rodziły piękne, słoneczne wina, pachnące miodem z pasiek – jasne, słomiane ule jaśniały między winnymi krzewami. Na północnych stokach wzgórz rósł stary las, w którym umierało i rozpoczynało swój żywot wielu mieszkańców stolicy. Dyskretne parowy, wykroty i wąwozy, skutecznie chroniące przed niechcianym towarzystwem, sprzyjały miłosnym schadzkom. Jasne i rozległe polany były zaś ulubionym miejscem pojedynków. Nad tymi, którzy konali, leżąc w trawie, pochylały się z tkliwością korony starożytnych buków, dębów i wiązów. Zwycięzcom, którzy po pojedynku przerażeni uchodzili w pośpiechu, aby uniknąć przykrej konfrontacji z prawem, las zapewniał kryjówkę. Ciągnął się wiele mil, zaś smolarze, zamieszkujący zagubione polany z mielerzami, chętnie dawali schronienie miejskim paniczom do czasu, aż tamci mogli bezpiecznie wrócić do miasta. Ileż wspaniałych książek powstało po tych pojedynkach w ubogim szałasie, gdy dandysi, odcięci od życia towarzyskiego, poszukiwali zajęcia na długie wieczory, spędzane w kompanii czarnego od dymu smolarza i jego równie brudnej żony. Bywali też tacy, którzy, wzięwszy sobie leśną dziewczynę, pozostawali w zielonej głuszy na zawsze.

Dwaj inżynierowie znali dobrze owe tereny. Wiedzieli, że sąsiedztwo ludzkich siedzib nie służy zabijaniu. Na miejsce kaźni wybrali więc winnicę Derflingen, położoną na łagodnym stoku, oddaloną od rogatek miasta o dziesięć minut drogi. Pochodził z niej wyjątkowo dobry riesling o tej samej nazwie. Jeden z inżynierów był wielkim jego miłośnikiem, nie przewidział jednak, że pieczołowicie tworzony plan obróci wniwecz winne krzewy.

Po wybuchu rewolucji w kilka godzin utwardzono drogi na tyle, by do winnicy dało się wciągnąć armaty, niewielkie ćwierćfuntówki artylerii konnej. Pierwsza, próbna salwa wykarczowała krzewy, dzięki czemu można było dokładnie wyznaczyć pola, w których raziły armatnie kartacze. Tam wykopali doły skazańcy z pierwszego rzutu.

Osiem armat strzelało jednocześnie, zabijając naraz sześćdziesiąt osób. Łącznie z czasem potrzebnym na nabicie dział, dobiecie rannych (czym nie zajmowano się zbyt skrupulatnie, rąbiąc szablami jedynie tych, którzy przejawiali zbyt dużą aktywność) i posypanie trupów wapnem, dało się, przy sprawnej organizacji, i wyętej pracy artylerzystów i strażników, osiągnąć wydajność rzędu trzystu straconych na godzinę. W dziesiątej godzinie rewolucji, liczba straconych dochodziła już do tysiąca.

Sześciu wozów, z dziesięcioma skazanymi na każdym, pilnowało dwóch strażników. Jeden uzbrojony był w pikę, drugi w starą flintę. Więźniowie mogliby pokonać ich bez żadnych strat. Jednak nikt nie próbował. Rewolucja paraliżuje, działa jak drapieżny pająk. Nie pożera zwyczajnie swych ofiar, lecz, pochwywszy je, wstrzykuje im swe trawienne soki, aż rozpuszczają ich ciała, dopiero wtedy wysysa tkanki.

Joachim miał właśnie stać się jednym ze statystów tego wielkiego przedstawienia i użyć swym ciałem brunatną, tłustą ziemię winnicy. Przechodził drogę, którą przeszło już przed nim tysiąc jemu podobnych. Zaprowadzono go przed oblicze trybunału, który zasiadał w starej ujeżdżalni, przy zestawionych stołach, umieszczonych na prowizorycznie ubitym

piasku. Skład orzekający stanowiło pięciu śmiertelnie zmęczonych urzędników, którzy w ciągu ostatnich godzin wypisali tysiąc wyroków.

Bardzo szybko ustalono rutynę. Wchodzi dziesięciu, jeden z sędziów odczytuje akt oskarżenia i nazwiska oskarżonych – minuta. Następnie każdy z oskarżonych może wypowiedzieć zdanie na swoją obronę, piętnaście sekund każdy, razem dwie i pół minuty. Teraz wydanie wyroku – pół minuty. Spisanie wyroków, po dwóch na sędziego – dwie minuty. Trzech skrybów zajmie się załączeniem wyroków do akt i wpisaniem nazwisk do wielkiej księgi skazanych. Łącznie – sześć minut i dziesięć wyroków. Stu skazanych na godzinę. Trybunał wciąż był wąskim gardłem maszyny rewolucyjnej sprawiedliwości – kaci są sprawniejsi od sędziów. Zaradzono temu szybko, wprowadzając dwa dodatkowe trybunały, teraz w ujeżdżalni toczyło się jednocześnie trzydzieści spraw, co dawało trzystu skazanych na godzinę, dzięki temu machina osiągnęła sprawność.

Wraz z Joachimem przed sądem stanęły trzy przerażone kobiety, w tym jedna arystokratka, co zdradzała strojna, chociaż teraz brudna i potargana, suknia, pięciu mężczyzn, odartych z odzieży, która mogłaby ujawnić ich stan. I jedno dziecko, dziesięcioletni chłopiec, nie rozumiejący, w jakich opałach się znajduje.

Sędzia odczytał akt oskarżenia, dano teraz skazańcom czas na obronę. Kobiety, stojące przed Joachimem, próbowały coś wydukać, jednak po piętnastu sekundach ich nieudolne przemowy przerywało uderzenie pałki strażnika. Gdy doszło do Joachima, ten splunął, daleko, aż na stół, przy którym zasiadali prawnicy. Cios pod kolano ściał rotmistrza z nóg. Szybko wysłuchano przemów pozostałych oskarżonych. Prawnik, wyczerpany swą pracą, powstał, aby ogłosić wyrok. Mimo młodego wieku nosił już binokle – wynik sześciu lat pracy na stanowisku kancelisty. Poprawił okulary, chociaż tekst z kartki znał na pamięć, spojrzął na zegar, pomyślał z tkliwością o ciepłym i miękkim ciele swej młodej żony, które będzie pieścił już za pół godziny, kiedy to skończy się jego zmiana.

Nie mógł wiedzieć, że nie będzie mu dane. Gdy zaczerpnął powietrza i otworzył usta, by wygłosić formułkę, drzwi ujeżdżalni otworzyły się z hukiem i do sali sądowej wkroczyła rudowłosa dziewczyna na czele sporej gromady zbrojnej w pistolety, piki, strzelby i kosy. Dziewczyna odziana była w czerwoną, wyblakłą spódnicę i rozchełstaną koszulę, która odsłaniała duże, kołyszące się piersi. Na jej głowie, na rudych włosach, tkwiła czerwona czapka. W prawej dłoni trzymała karabin, w lewej zaś sztandar, czerwoną szmatę, przywiązaną do ułamka piki. Śmiała się głośno, odsłaniając bezzębne szczęki.

– Widzę tutaj krecią, kontrewolucyjną robotę!

Jej ludzie rozbiegli się po ujeżdżalni. Kilku podbiegło do sędziów, przystawiając im do gardeł noże. Strażnik, który próbował interweniować, zginął w mgnieniu oka, cięty przez pierś postawioną na sztorc kosą. W parę sekund dziewczyna opanowała salę.

Nikt nie zwracał uwagi na chłopca, który obserwował wydarzenia schowany za porzuconymi w rogu skrzyniami. Młody Ewald von dem Kreuz, syn biskupa, który właśnie w tej chwili zrzuca i depcze nogami biskupią infułę na wiecu przed katedrą. Chłopiec za kilkanaście lat zostanie znanym malarzem. Do końca życia będzie pamiętał tę scenę, której właśnie był świadkiem i kiedyś uczyni rudowłosą, upiększywszy ją nieco, główną bohaterką swojego obrazu, dzięki któremu jeszcze za życia stanie się klasykiem.

– No i cóż, panowie sędziowie? Chcecie zdławić rewolucję? – zapytała wesoło dziewczyna, podchodząc do przerażonych urzędników.

Zaczęli się tłumaczyć.

– Skąd to przypuszczenie?

Ruda wbiła w piasek swój sztandar, podeszła bliżej. Przytknęła lufę do czoła stojącego ciągle sędziego, który miał odczytać wyrok, kciukiem odwiodła kurek i zapytała:

– A czemuż więc, psi synu, chcesz skazać na śmierć dobrego rewolucjonistę?

– To niemożliwe! – odpowiedział adwokat. – Skazujemy tutaj tylko wrogów rewolucji!

– Ja jestem rewolucją – wyszeptała dziewczyna. – Zgadzasz się?

– Jak to? Rewolucja należy do nas wszystkich, porządnych ludzi, którzy chcą poprawić byt mas, jak to możliwe, że zwykła kurwa mianuje się rewolucją...

– Kurwa? Co, aż tak ci się podobam? – Odrzuciła karabin, chwyciła sędziego za halsztuk i przyciągnęła jego twarz do swoich obnażonych piersi tak, że ustami prawie dotykał wydatnych, ciemnych sutków. – Co, chciałbyś spróbować tego specjału?

Pocałowała go w usta. Jej piersi robiły na młodym urzędniku spore wrażenie, mimo niezbyt intymnej sytuacji. Ale był człowiekiem idei, pracował dla zwycięstwa rewolucji.

– Nie zbałamucisz mnie, dziwko! Rewolucja to nie anarchia!

Odepchnęła go gwałtownie, pochwyciła karabin i ponownie wycelowała w czoło urzędnika.

– A czymże jest rewolucja, skrybo?

– Rewolucja to dziejowa sprawiedli...

Nie skończył zdania. Rudowłosa nacisnęła spust. Nie patrząc, władcym gestem oddała wystrzelony karabin do tyłu, ktoś usłużnie go odebrał, ktoś natychmiast podał jej nowy, załadowany. Oparła kolbę o biodro i zapytała, patrząc na przerażonych sędziów:

– Kto jeszcze z was, adwokacików, ma wątpliwości co do tego, że rewolucja zawsze ma rację?

Nie mieli wątpliwości. Znali potęgę motłochu, wiedzieli, że to właśnie jest rewolucyjna władza – uzbrojeni proletariusze i zdecydowany przywódca.

– Niech towarzyszka wskaże, co do kogo się pomyliliśmy. Natychmiast zmienimy nasz wyrok. Jesteśmy ludowym trybunałem i głos ludu, który towarzyszka reprezentuje, jest dla nas najwyższą władzą.

– Oho ho, nie tak łatwo!

Podeszła do Joachima, rzuciła karabin na ziemię i pogładziła go po włosach.

– Ten idzie ze mną! Oto prawdziwy rewolucjonista! Zdobywał z nami Schloss, a teraz wy, pierdzistołki, chcecie go zabić! Nic z tego! Wystawicie mu tutaj natychmiast dokument, potwierdzający, że ten oto towarzysz był jednym z Trzystu! Był tym, który zdobywał Schloss i dożywotnio będzie czerpał z tego powodu splendory i zaszczyty Obrońcy Rewolucji!

Rzucili się do papierów byleby tylko jak najszybciej spełnić jej żądania. Wiedzieli, że tylko to pozwala się utrzymać na powierzchni. Kiedy skończyli, rudowłosa rzuciła okiem na dokument.

– Ładny... Chociaż i tak nie umiem go przeczytać! Ha, ha, ha, ha! – zanosła się perlistym, radosnym śmiechem. Jej ludzie zawtórowali. Po krótkiej chwili niepewności nawet sędziowie i zdeorientowani skazani zaczęli się śmiać. Śmiech był zaraźliwy, zaśmiał się również Joachim. Jedna z kobiet rzuciła się rudej do stóp, i zaczęła całować rąbek jej brudnej spódnicy:

– Dzięki ci, pani, w imieniu moich synów, cóż by oni zrobili bez matki, pani uratowała mi życie, dzięki ci, dzięki!

Ruda spoglądała przez chwilę z rozbawieniem, by po chwili odwrócić się i zadrzeć spódnicę, obnażając pośladki.

– A tutaj nie chcesz mnie pocałować? Jeden już mnie w dupę całował, i żyje, nawet go komisarzem zrobili! Ha, ha, ha, ha!

Znów wszyscy jej zawtórowali. Sędziowie zaczęli już spoglądać po sobie porozumiewawczo – dobra nasza! Ruda nagle spoważniała, odwróciła się do kobiety i kopnęła ją bosą stopą.

– Chyba nie myślisz, że jestem tu, by pomagać wrogom rewolucji? Wracaj, suko, do szeregu! A wy, urzędasy, tłumaczcie szybko moim chłopcom, jak ten wasz sąd działa – zwróciła się do sędziów.

Zasada nie była skomplikowana, więc wyłożyli ją jasno i sprawnie w dziesięć minut. Ruda zapytała teraz swoich ludzi:

– Dobra, który z was, junaków, umie jako tako czytać i pisać?

Kilku się zgłosiło. Szklarz, szewc, były kleryk, wyrzucony po pierwszym roku z seminarium, zecer, alfons, który nauczył się czytać w szkółce kościelnej.

– A więc mianuję was sędziami. Panowie byli sędziowie, ściągać kabaty i oddawać panom sędziom!

Rozkaz wypełniono bez szemrania.

– No i dobrze! A teraz panowie sędziowie sądzą byłych panów sędziów. Raz na wozie, raz pod wozem. Teraz to na wozie chyba gorzej, ha, ha, ha! – śmiała się.

Nauczeni dobrym przykładem nowi sędziowie sprawnie wydali wyroki. Radzili sobie równie celująco co ich poprzednicy. Byli bardzo dumni ze swoich w tym zakresie dokonań, bo nie zrozumieli jeszcze, jak działa rewolucja. Nie wiedzieli, że prędzej czy później znajdą się po drugiej stronie. Żaden z nich nie był geniuszem, nie miał tego artystycznego zmysłu, pozwalającego przewidzieć, w którą stronę przechyli się jutro wahadło rewolucji. Nie o zwykły konformizm tutaj szło, bowiem każdy potrafi być chorągiewką na wietrze. Sztuką jest być chorągiewką, która zmienia kierunek, zanim odwróci się sam wiatr.

Joachim stał ciągle na piasku ujeżdżalni, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Rudowłosa podeszła, chwyciła go za rękę i zmienionym, miękkim głosem powiedziała:

– Chodź, musisz być zmęczony.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale uświadomił sobie, że nie ma wyjścia. Ruszył razem z dziewczyną. Odruchowo – był w końcu gentlemanem – podał jej ramię, które zrzęcznie przyjęła. Wyszli z ujeżdżalni.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Najpierw do łaźni i balwierz, potem do krawca. Wyglądasz jak przystało na rewolucjonistę, owszem, ale już dość tego zadawania szyku podartymi rajtuzami i śmierdzącą koszulą.

– Dlaczego mi pomagasz? – rotmistrz wahał się, czy zwrócić się do niej „pani”, czy też „towarzyszko”. Jednak na pierwszą formę nie zasługiwała, a druga nie chciała mu przejść przez gardło.

– Bo jesteś przystojny, to raz. Bo jesteś żołnierzem, a ja lubię żołnierzy. Bo masz w sobie jakieś doświadczenie, które czyni cię bliskim...

– Kim jesteś? Czasem mówisz jak, no... – zmieszał się Joachim.

– Ha, ha, ha! Biedny chłopiec, skromny i niewinny! Jak dziwka mówię! Pewnie, że jak dziwka, przecież jestem dziewczyną.

– Ale czasem jak dama. Więcej, jak dama nie pozbawiona inteligencji i obycia.

– Jestem taka, jaką chcesz mnie widzieć, mój drogi...

– Więc nie pochodzisz z gminu? Przecież w burdelu nikt manier nie uczy.

– Och, mój drogi, zerznęło mnie tylu hrabiów, baronów i książąt, że chyba jakaś część szlachectwa przedostała się do mojej krwi. Chyba od nich mam te maniery. Ale oto i balwierz. Dość tych zwierzeń, do dzieła.

Jednym z pierwszych dekretów rewolucyjnego rządu było ustanowienie zasady nieodpłatności w łaźniach. Nie wymyślono jeszcze, w jaki sposób łaźnie będą finansowane, ale ponieważ dekret obowiązywał dopiero od kilku godzin, na razie nie było z tym kłopotu. Żaden łaźnieniczy nie kwapił się do obsługi Joachima, który wyglądał jak najgorszy z żebraków, rudowłosa przejęła więc ich obowiązki. Rozebrała go do naga, żartując i śmiejąc się, po czym pomagała mu w toalecie. Rotmistrz nie pamiętał, kiedy ostatni raz się mył. Z

rozkoszą po raz czwarty mydlił twarz, włosy, ciało, nakazując podawać kolejne dzbany gorącej wody. Ruda, jak najlepsza służka, odgadywała jego pragnienia – gdy wyciągnął dłoń, wkładała mu do niej to mydło, to ręcznik, nie zapomniała o dopełnianiu balii gorącą wodą, by nie zziębł. Gdy w końcu wyszedł z kąpieli, zawołano balwierza.

– Jak ostrzyć? – zapytał stary fryzjer.

– Po huzarsku – odruchowo odpowiedział Joachim.

– A skąd! – zaprotestowała dziewczyna. – Kto się teraz tak nosi?! Chcesz wyglądać jak stare dziady z domu weterana, co z ostatnich sześciu włosów zaplatają warkoczyki, w szczerbatą gębę wsadzają glinianą, obślinioną fajkę i, sepleniąc, wspominają, jak to się służyło w pułku hrabiego jakiegoś tam?

– Ale... ja jestem huzarem...

– No i co? Towarzyszu fryzjerze, tnijcie a la Cezar! Będziesz dalej huzarem, tyle, że rewolucyjnym!

Joachim spojrział w lustro i nagle postanowił, że ma dość dwóch kołtunów zwisających koło uszu. I wąsów też ma dość...

– Dobrze, balwierzu. Tnij na krótko. I wąsy zgól, i cały zarost. Będzie nowocześnie, niech tam.

Fryzjer sprawnie wziął się do pracy. Rotmistrz obserwował, jak w lustrze pojawia się nowy, inny człowiek.

Potem, gdy na polecenie rudowłosej przyniesiono nowe ubranie, ze zdziwieniem włożył białą, jedwabną koszulę, czarne spodnie, ciemne pończochy, czarną kamizelkę i fraczek, a na szyi zawiązał czarny halsztuk. Na końcu wsunął stopy w lakierowane pantofle. Wyglądał elegancko, lecz była to plebejska elegancja. Przyzwyczyił się do widoku szlachty w mundurach, zawsze kolorowych, lub w cywilnych ubraniach, lecz nigdy całych czarnych! Noszono jasne fraki, białe pończochy (zawsze, na Boga, zawsze), haftowane kamizelki... Teraz wyglądał jak elegancko odziany sekretarz czy rządca. Może adwokat. Krótkie włosy, nagle odmieniona twarz... Kiedyś warkoczyki i wąsy dawały mu groźny, męski wygląd, teraz wydawał się subtelny, chłopiący.

– No pięknie! Mógłbyś być komisarzem za sam strój, mój oficerku! – zawołała ruda. W przeciwieństwie do Joachima nie zmieniła ubrania. Wciąż miała na sobie tę samą spódnicę, rozchełstaną koszulę i czerwoną czapkę, zawadiacko zsuniętą na ucho.

– Przywykłem do munduru...

– Dobrze, dobrze. Przyjdzie czas, znajdzie się i mundur...

– I co teraz, moja droga? – zapytał Joachim, odzyskując powoli rezon.

– Teraz pójdziemy na bal, na rewolucyjny bal. Co ty na to?

– Czemu nie...

\*\*\*

Bal odbywał się w pałacu kanclerza. Piękny, stuletni budynek otoczony był rozległym parkiem, zadziwiające, że wystarczyło zaledwie kilka godzin, aby zdewastować tak duże założenie. Pałac był jednym z pierwszych celów, przeciw którym skierował się gniew ludu. Kanclerza powieszono żywego, z rozprutym brzuchem, skonał więc po trzech kwadransach, jednak jego żona, zwisająca głową w dół, umierała przez kilka godzin. Następnie, już w mniej wymyślny sposób, wymordowano służbę.

Kiedy nie było już kogo zabijać, zaczął się rabunek. Tłum niszczył wszystko, czego nie dało się ukraść. Zapłonęło prawe skrzydło pałacu, jednak ogień nie przeniósł się na resztę budynku. Potem tłuszcza rzuciła się na park, obalając antyczne rzeźby, które kanclerz sprowadził sobie z odkopanego w Italii rzymskiego miasteczka. Rewolucjoniści z zapalem

niszczyli drzewa, pięknie przycięte krzewy, rozbijali fontanny, sikali do stawu ze złotymi karasiami.

Kiedy Joachim ze swoją towarzyszką przybyli na miejsce, ciała ciągle wisały nad schodami. Joachim zapytał, patrząc na obraz zniszczeń:

– Jak to możliwe? Nie jesteś ciemna i tępa, jak ten... ten... – Joachim szukał właściwego słowa.

– Ten motłoch? – odpowiedziała.

– Tak. Ten motłoch – zgodził się po chwili milczenia. – Więc, jak to możliwe, że trzymasz z nimi? Przecież widzisz, że to pusta żądza zniszczenia. Im przecież nie chodzi o wolność.

Położyła Joachimowi palec na wargach, delikatnie pieszcząc jego usta.

– Ciiii... Wiesz, co mogłoby się stać z tobą za takie słowa? Zaraz wszystko zrozumiesz...

Weszli do środka. Bal, jeżeli tak można to nazwać, odbywał się w głównym hallu. Na schodach stała orkiestra – dwóch pijanych w sztok gitarzystów, kobieta z tamburynem i skrzypek. Falszując niemiłosiernie, wygrywali cygańskie melodie. Warci siebie wojownicy i bardowie, pomyślał Joachim. Kobieta, stara i pomarszczona Cyganka, zawodziła, potrząsając tamburynem. Jednak owa muzyka z trudem przebijała się przez gwar. Ogromna i słyszana kiedyś na cały kraj piwnica kanclerza była już w trzech czwartych opróżniona. Rewolucjoniści pili duszkiem stuletnie wina wprost z butelek. Wielu leżało już na stołach lub splamionych dywanach. Wśród nich kręciły się równie pijane kobiety. W prawie każdym zakamarku ogromnego hallu kopulowały pozbawione wstydu pary.

Przy kominku kilku ledwie przytomnych mężczyzn zabawiało się na wyniesionej z buduaru sofie z nagą dziewczyną, wyjątkowo dumną ze swej roli. Pochodnie, które pokryły już sufit czarną sadzą, oświetlały spocone ciała drżącym, pomarańczowym światłem. Joachim pochwycił spojrzenie dziewczyny znad odzianych w brudną koszulę pleców sapiącego zalotnika. Miała zupełnie trzeźwe oczy i otwarte lekko usta. Kładąc dłoń na plecach swego kochanka, lubieżnie oblizwała wargi. Joachim, zawstydzony, odwrócił wzrok. Ruda uśmiechnęła się ze zrozumieniem, odsłaniając szczerbę po wybitych zębach.

– Oj, zgrywasz niewiniątko? Powiedzmy sobie otwarcie – wiem, że jesteś tym, który urządził sobie krwawy rajd na południu. Wiem, że kierowały tobą inne motywy, ale dotknąłeś tej samej otchłani, w którą spogląda ta parząca się suka. Wszyscy tutaj w nią patrzą. To jednak prostacy. Ty jesteś szlachcicem, ale otchłań jest ta sama. Wstąp w nią razem ze mną.

– Bredzisz, moja droga. Ja byłem biczem na zło i zepsucie... To tutaj, to zło wcielone. Szatan zszedł na ziemię, i zamieszkał w stolicy.

– A pamiętasz tę dziewczynę z miasteczka? Tę, której męża zabiłeś? Pamiętasz, jak umarła?

Joachim otworzył usta, ale nie wydobył z siebie głosu.

– No i cóż, mój drogi? Zaniemówiłeś? No już, ja cię nie potępiam... ha, ha, ha! Nie oszukuj się, Joachimie, tkwisz już w otchłani, mój diable... Patrz, co się stanie.

Rudowłosa nagle odstaąpiła krok od Joachima, zdarła z siebie brudną koszulę, zerwała spódnicę i halki. Stała całkiem nago, posłała rotmistrzowi całusa i ruszyła ku stołowi. Z każdym jej krokiem gwar w sali cichł, by po chwili przerodzić się w absolutną ciszę. Pijacy odstawili kielichy, opiumiści odsunęli ustniki nargili, kochankowie zatrzymali się w miłości, by patrzeć na rudowłosą. Lekko wskoczyła na stół.

– Witajcie, dzieci! – zawołała.

Odpowiedział jej ryk z kilkudziesięciu gardeł. Podniosła rękę, jej piersi zafalowały, wrzaski ucichły.

– Nie dbacie o mnie... Potrzeba mi pieścizot... Kto się o to zatroszczy?

Znów ryk. Zaczęli się przepychać, lecz nikt nie odważył się zbliżyć bardziej, niż na kilka kroków. Dziewczyna uciszyła tłum ruchem ręki. Palcem wskazała na kilku urodziwych mężczyzn i parę kobiet, po czym, rozrzucając nogą zastawę, położyła się na stole.

– Oto nasz ołtarz, oto moje ciało! Bierzcie mnie!

Wybrańcy, zrzucając ubrania, podbiegli. Po chwili nagie ciała kotłowały się nad nią, każdy z wybranych starał się dotknąć chociaż kawałka jej skóry, włosów, ona poddawała się tym chaotycznym pieszczotom. Wreszcie roztrąciła ich żartobliwymi klapsami. Stanęli dookoła stołu, kobiety przykucnęły na blacie, obok niej, wszyscy podnieceni, zziębnięci, z wypiekami na twarzy. A ona uniosła się na łokciu, spojrzała na Joachima i wskazała go palcem.

– Nadeszła twoja kolej, mój miły. Chodź.

Kim była ta dziewczyna? Wiedział, że gdy ulegnie jej teraz, będzie należał do niej ciałem i duszą. Myślał o swojej duszy – gdzie ona teraz jest? Jest gdziekolwiek? Cóż więcej go powstrzymuje...

Więc nie honor, lecz otchłań!

Ruszył powoli. Poczuł, że panuje nad motłochem jak rudowłosa. Uniósł ramiona – jakieś usługane ręce zdjęły mu frak, szedł wolno, zaś rewolucjoniści utworzyli szpaler. Gdy doszedł do stołu, był już nagi.

Był piękny. Krótkie włosy pięknie podkreślały kształtną czaszkę, miał szczupłe, umięśnione ramiona, płaski brzuch, śniadą, spaloną słońcem skórę, błyszczącą od olejku, którym namaściła go jakaś dziewczyna. Stanowił syntezę urody chłopca i mężczyzny, wdzięku i gibkości, razem z właściwą dojrzałemu mężczyźnie siłą, drzemiącą w mięśniach wyrzeźbionych wojną. Oczy rudowłosej płonęły, pod dotknięciem jej dłoni zadrżał. Musnął jej usta, a ona objęła jego biodra nogami. Kilkadziesiąt przepitych głosów zaczęło śpiewać „Pieśń bojową armii Dunaju” – piosenkę, która powoli awansowała do rangi nieoficjalnego hymnu rewolucji.

Na pół zdarta tapiseria zajęła się od pochodni, salę ogarniał ogień. Joachim, pijany żądzą, niczego jeszcze nie zauważył, lecz biesiadnicy poczęli wybiegać z hallu na dziedziniec.

Wreszcie i on poczuł, że leżą pośród płomieni. Jednak ramiona rudowłosej, na pozór kobieco słabe, okazały się stalowe. Nie mógł rozerwać uścisku nóg, które oplatały go w talii, nie mógł uciekać.

– Jeszcze nie skończyłeś... – wyjęczała.

Ogień poczynął trawić już stół, na którym leżeli. Straszny ból nie zduślił podniecenia, zdawał się je nawet podsycać. Joachim wyprężył się w spazmie, skóra na plecach pękała od żaru, włosy jego kochanki płonęły. Krzyknęła krótko. I wtedy ogromna belka ze stropu oderwała się i runęła w dół.

\*\*\*

Stali przed płonącym budynkiem, otuleni w koce. Kiedy przygniotła ich płonąca belka, ruda odrzuciła ją bez wysiłku, pocałowała Joachima, wzięła go za rękę i poprowadziła do wyjścia, przez płomienie. Teraz stał i patrzył na swoje dłonie, osmolone, czarne prawie od dymu i sadzy, ale całe, bez najmniejszego poparzenia. Czuł przecież, jak płonęły mu stopy – były brudne, ale zupełnie zdrowe.

Przyniesiono mu jego nowe ubranie, również nietknięte. Rudowłosa kontemplerowała płonącego pałac.

– Oto rewolucja. To ja właśnie – wskazała pożar.

– Już rozumiem. Jestem z tobą – odpowiedział.

– Jesteś we mnie. Teraz zaczniesz działać.

- Jak?
- Dla rewolucji. Jak będziesz chciał. Pójdziemy tam, gdzie rządzą rewolucją.
- Wydawało mi się, że to ty nią rządysz.
- Ależ skąd, Joachimie! Ja jestem tylko zwykłą dziwką.

Joachim zatrzymał powóz, zgrabnego fiakra. Powożący nim, elegancko ubrany mężczyzna bez słowa wyszedł z powozu i, uchyliwszy kapelusza, poszedł swoją drogą na piechotę, gdy tylko zauważył, że zatrzymuje go człowiek odziany jak adwokat w towarzystwie dziwki.

Dziewczyna chwyciła lejce, Joachim wskoczył na siedzenie. Ruszyli.

- Będę potrzebował broni.
- Jakiej?
- Hm... – zamyślił się huzar. – Dobrej szabli, pary pistoletów, nadałby się też jaki karabinek...

– No i po cóż ci to tutaj? – dziewczyna uniosła brwi. – To nie szarża kawalerii, mój drogi. Ale dostaniesz swoją broń, nie martw się. Z najlepszego źródła.

Dojechali. Rewolucyjny sąd mieścił się w ujeżdżalni, zaś rewolucyjny rząd w starej rzeźni. Wprawdzie zwycięzcy przemyśleli przez jakiś czas nad przeniesieniem siedziby do któregoś z zarekwirowanych pałaców, ale wtedy Maximillian Kleiderpeter, który z prowincjonalnego radcy prawnego wyrastał powoli na przywódcę, wygłosił piękną mowę.

Zgromadzeni w ubojni komisarze słuchali w milczeniu, kiedy Kleiderpeter stał spokojnie za prowizoryczną mównicą. Jedynie jego dłonie o pobielających kostkach zdradzały napięcie. Zaciskał je na deskach, gdy z pasją perorował, by rewolucja pozostała tu, gdzie się narodziła. I choć komisarze mieli dość rzeźni, w której gromadzili się od kilku lat, udając konspirację, to w słowach radcy słyszeli wyraźne skrzypienie wozów jadących do Derflingen i świst kartaczy z rozgrzanych ćwierćfuntówek. Gdy skończył, wszyscy wiwatowali, i zostało postanowione, iż rząd zostaje tam, gdzie się narodził. Nie było tu wprawdzie wygodnych foteli, pięknych łazienek, buduarów, w których można by się zaszyć na parę kwadransów z jakąś zaangażowaną działaczką, ale nikt nie chciał przejechać się najbardziej ostatnio uczęszczaną linią ujeżdżalnia – Derflingen.

Wysiedli z powozu. Ruda dobrze wiedziała, dokąd iść. W małym kantorku, w którym kiedyś urzędował nadzorca masarzy, teraz zasiadał Kleiderpeter. Gdy dziewczyna otworzyła drzwi, radca uniósł głowę znad papierów.

– To ty znowu...? Kiedy dasz mi wreszcie spokój, utrapiona dziwko?

Zaśmiała się szeroko.

– Mój drogi Maksiu! Chybaś głupszy, niż myślałam... Aż do śmierci nie zaznasz ode mnie spokoju!

Kleiderpeter, zniecierpliwiony, machnął ręką.

– Kogoś mi tu przyprowadziła?

– Joachim Egern. Kawalerzysta był, więzień cesarstwa, kryształowy rewolucjonista.

– Egern? Pewnie jeszcze przedwczoraj „von Egern”, prawda?

– Prawda. A wiesz co, mój drogi Kleiderpeter? Nie dalej jak kilka dni temu wpadła mi w ręce książka, rznął mnie jakiś prawnik, pod tytułem „Prawo do życia w pokoju a wojny zaborcze”, którą napisał Maximillian Albert von Kleiderpeter. Czy to aby nie jakiś twój krewny?

Radca poczerwieniał.

– Nie zaperzaj się tak – zakpiła rudowłosa. – Możesz kazać spalić cały nakład, światowa literatura pewnie zbytnio na tym nie ucierpi, ha, ha, ha! Dobrze, do rzeczy. Potrzeba temu towarzysze ludzi, broni i zadania, by mógł udowodnić swoją przydatność naszej sprawie.



Kleiderpeter, nie spuszczać wzroku z przybyszów, sięgnął do czerwonej teczki i wyjął rozpieczętowany list.

– No, niech będzie. Zobaczymy, jak się towarzysz nadaje. Proszę... – podał Joachimowi papier.

*Do Towarzysza Generalnego Komisarza Maxa Kleiderpetera. Towarzyszu, tutaj, na Nowym Mieście organizuje się powoli silna grupa elementów rojalistycznych. Trudno nam znaleźć poparcie wśród burżujów, bo pozamykali się w domach i strzelają bez pytania, gdy wchodzimy chociażby na podwórze. Do cesarskich zresztą tak samo. Z nimi policzymy się później, oni są bierni, ograniczają się jedynie do obrony, więc nie stanowią zagrożenia. Jednak grupa rojalistów, którą zarządza kilku byłych arystokratów i żołnierzy, jest prężna i dobrze wyposażona. Na razie działają w konspiracji; należy ich rozbić, zanim wyjdą na ulicę. Prosimy o wsparcie.*

*Komisarz Plume*

Joachim, przeczytawszy, skinął głową.

– Potrzebuję broni.

– I wstęgi komisarskiej – dodała dziewczyna.

– Już. Wypisuję upoważnienie do magazynu i pozwolenie na broń.

– Słucham? – zdziwił się Joachim – Co? Pozwolenie na broń? A cóż to takiego?

– No, towarzyszu Egern, jak to? Zezwalam wam na noszenie broni...

Joachim nie wierzył własnym uszom.

– Panie... towarzyszu Kleiderpeter... przecież tam, na ulicy, wszyscy noszą broń.

– Owszem, ale zamierzamy to ukrócić. Gdy tylko pozbedziemy się rojalistycznej kointrewolucji, obywatele nie będą potrzebować broni.

– Jak to nie? Jak to możliwe, by broń nie była potrzebna?

– No, zwyczajnie. Nie trzeba polować, to brutalna i krwawa rozrywka arystokratów, zaś bronić obywateli będzie państwowa milicja. Zakażemy również zamków w drzwiach, krat w oknach i tym podobnych. Zdradzałyby one brak zaufania do organów państwa. I co towarzysz na to?

– Nic, póki ja będę po drugiej stronie.

– To znaczy po której?

– Póki to ja będę sprawdzał, czy ktoś nie ma zamka w drzwiach.

– Nie jest to postawa zbyt idealistyczna, ale, pod względem praktycznym, wystarczająca. Dobrze, oto pozwolenie i upoważnienie do magazynu. Niech żyje rewolucja!

– Niech żyję ja! – odpowiedział huzar. Kleiderpeter popatrzył zamyślony znad okrągłych binokli. Rudowłosa podeszła do niego, objęła za głowę i, zbliżając swoje usta do komisarskiego ucha, wyszeptała:

– On zajdzie dalej niż ty, mój drogi Kleiderpeter. Teraz on mnie rżnie. Twój czas się kończy, jeszcze możesz mnie popieścić, ale nóg już przed tobą nie rozłożę.

– Precz, kurwo! – wrzasnął komisarz.

Huzar i dziwka wyszli. Przy wejściu do magazynu pokazali odpowiedni dokument, lekko odurzony opium strażnik wpuścił ich do środka. Joachim otrzymał szkarłatną szarfę, którą przewiązał się w pasie, na głowę nałożył czerwoną czapkę, taką jak rewolucjoniści, lecz z czarnym otokiem i czarnym frędzlem, oznaczającym rangę komisarza. Wybrał sobie również buty do konnej jazdy.

– Teraz broń – powiedział.

Rudowłosa podała mu sztylet o długim i wąskim ostrzu, w pochwie z miękkiej skóry.

– Schowaj go do prawej cholewy, idealnie tam pasuje – powiedziała.

Ze skrzyni wyjęła niewielkie, mahoniowe puzderko. W nim, w odpowiednich, wykładanych czerwonym aksamitem wgłębieniach leżały dwa maleńkie, dwulufowe pistolety. Nie miały kabłąka, spust był schowany w rękojeści, wystawał dopiero po odciągnięciu kurka. Każdy miał tylko jeden kurek, mimo dwóch luf – sprytny mechanizm po pierwszym strzale przestawiał skałkę nad drugą panewkę.

– Proszę. Oba są załadowane. Masz ze sobą cztery lufy i ostrze, które łatwo przebije nawet pancerną koszulkę. Pistolety schowaj do kieszeni w kamizelce. Będą pasować.

Joachim wziął pistolety i przyjrzał im się dokładnie.

– Mały kaliber, krótka lufa... Z tego człowieka można trafić na pięć kroków, nie dalej...

– Pięć kroków to aż nadto. Będziesz strzelał, przyłożywszy wrogowi lufę do czoła. Nic więcej ci nie potrzeba.

Joachim schował pistolety do kieszeni i wsunął sztylet do buta.

– No dobrze, ale dajcie mi jeszcze jakąś szpadę, albo coś, żeby było widać, że jestem uzbrojony.

Dziwka wzięła się pod boki.

– I to mówiś taktyk? Od kogoś ty się wojaczki uczył? Od Rolanda? Roland oberwał w łeb i głupio skończył. Jedną z najważniejszych zasad taktyki jest ukrywanie przed wrogiem zarówno swoich atutów jak i słabych stron, prawda?

– Owszem, ale raczej nie ukrywa się faktu, że jest się wrogim żołnierzem.

– Czas przeszły, mój drogi, czas przeszły. Teraz to właśnie należy do najlepiej strzeżonych sekretów. Pamiętaj o tym, a dasz sobie radę. Gdy wjedziesz do Nowego Miasta, ściągnij szkarłatną wstęgę, za rekomendację wystarczą ci twoje maniery. Do dzieła, Joachimie. Weź pięciu ludzi, niech każdy ma karabin. I jeszcze to...

Rudowłosa podała mu zgrabny zestaw – skrzynkę zawierającą kałamarz, inkaust, pióra ze stalówkami, papier, pieczęć, lak i inne pisarskie utensylia.

– Oto twoja prawdziwa broń. Pistoletem możesz się obronić. Zwycięzysz pieczęcią na papierze.

\*\*\*

Podkute obcasy wysokich butów stukały po bruku. Rotmistrz nie wziął powozu. Chciał przespacerować się po mieście. Właśnie schodził z mostu, był już na Nowym Mieście. Swoim ludziom nakazał rozejść się po cichu po zaułkach i czekać w ustalonych miejscach na sygnał.

Nie nosił już szkarłatnej wstęgi. Ulice opustoszały, jedynie zza szczelnie pozamykanych okiennic mieszczkańskich, solidnych kamienic wyzierało słabe światło świec. Czasem tylko w bramie stał uzbrojony burżuj, butny i bezczelny, z dubeltówką w rękach, ze zbrojnymi w widły parobkami za sobą.

Joachim wiedział, że choć teraz nie czuli strachu, to przyjdzie i na nich pora. Będą ich wyciągać po kolei z domów, za łby, gwałcić kobiety, rabować i zabijać mężczyzn. Tam, gdzie ktoś stawi opór, zginą wszyscy.

Owszem, mogliby uniknąć swego losu, gdyby nie zamykali się w domach, tylko wyszli na ulicę... Stolica nie była biednym miastem, średniozamożnej burżuazji było więcej niż biedoty, która stanowiła gwardię rewolucji. Z jednej strony wygłodzone lumpy, zbrojne w kosy i piki, z drugiej dobrze uzbrojeni, bo trzymający sporo strzelb po domach, dobrze odżywieni, silni burżuje razem ze swymi pachotkami. Zdolaliby obronić cesarza, obronić państwo.

Ale nie mogli jednak zrobić tego z okiennic. Bronili swych domów, zbyt ciasna perspektywa nie pozwalała im zrozumieć prostego paradoksu: aby obronić swe domy, muszą

je porzucić. Potrzebowali wodza, przywódcy. Kogoś lepszego od nich, czyją wyższość czuliby instynktownie, kto przejąłby na siebie ciężar decyzji. Nie byli tchórzami, nie bali się – potrzebowali jedynie dowódcy. Kogoś takiego jak on, Joachim von Egern, szlachcic i oficer.

Lecz on szedł przygotowywać im inną przyszłość. Za niecałe trzy tygodnie będzie stał tutaj, w mundurze komisarza Gwardii Obywatelskiej – bo i stopnie oficerskie również powrócą, ale nieco później, trochę czasu musi minąć, nim okaże się, że bez oficerów nie da się wygrać żadnej bitwy. Z wysokości grzbietu angielskiego wałacha z cesarskiej stajni patrzył będzie na oblężenie jednej z kamienic. Nie wezwie dział, z podziwu dla bohaterstwa starego mistrza cechu krawców, broniącego się tutaj wraz z trzema synami, pięcioma czeladnikami i kilkunastoma kobietami.

Będzie chciał, żeby walka była sportowa – stary krawiec i tak nie ma szans. Oblężenie potrwa dziesięć godzin, zginie w nim trzydziestu czterech rewolucjonistów, co wywoła oczywiście wściekłość pozostałych. A podziw Joachima dla heroizmu obrońców nie będzie się wiązał z sympatią. Komisarz Gwardii nie zrobi niczego, aby powstrzymać piekło, jakie w domu starego krawca rozpęta motłoch. Kiedy tylnymi drzwiami wymknie się czternastoletnia dziewczyna, niezauważona przez oprawców, Joachim będzie się tylko z zaciekawieniem przyglądał tej ucieczce. Gdyby było z kim, chętnie założyłby się, czy uda się dziewczynce uciec. Nie zaalarmuje swoich ludzi, lecz i nie pomoże, a kiedy dziewczyna uwiesi się u jego strzemięcia, prosząc o łaskę, Joachim pomyśli jedynie: oto otchłań, i odepchnie ją kopniakiem.

Mała wbiegnie w pierwszą przecznicę, uda jej się uciec do rodziny na prowincji, opowie o wszystkim, co widziała. Gdy mężczyźni, których błagać będzie na kolanach, aby poszli walczyć z diabłem, będą po kolei tchórzyc, przeprosi Najświętszą Panienkę i obieca swoje młode ciało temu, który weźmie broń i pójdzie walczyć. Większość będzie miała na tyle przyzwoitości, by z płonącymi ze wstydu policzkami uciec do swoich sypialni. Jeden skorzysta – bezwzględny cynik, którego mała pokocha. Kiedy już pozbawi ją cnoty, bezwzględnie i zimno powie, że nie wybiera się na żadną wojnę. Dziewczyna, w akcie rozpacz, wbije mu w brzuch sztylet i wsiądzie do pierwszego dyliżansu do stolicy. Tutaj, podając się za prostytutkę, zbliży się do jednego z najważniejszych komisarzy, Hansa Plume, i zabije go w kąpieli. Przed sądem w ujeżdżalni powie, że zrobiła to, co zrobiłby każdy mężczyzna, gdyby jakiś jeszcze był w tym kraju. Lecz ostatnim był jej ojciec, który, przybity piką do ściany, zdołał jeszcze zastrzelić jednego wroga. Nikt z sędziów nawet nie zauważy, że dziewczyna nie próbuje się tłumaczyć. Tego samego dnia odłamek kartacza, wielkości męskiej dłoni, uderzy w jej brzuch, masakrując wnętrzności. Będzie żyła jeszcze, gdy czternastoletni chłopiec, który wychowywał się w suterenie kamienicy stojącej o czterdzieści kroków od jej rodzinnego domu, pchnie ją piką w pierś. Kilka dni wcześniej w Derflingen zostanie otwarta szkoła, w której tacy właśnie młodzieńcy uczyć się będą rewolucyjnej bezwzględności i zapału.

Martwe już ciało zepchnie do dołu grupa skazańców. Dusza dziewczyny wejdzie do nieba osobną bramą dla wojowników – w tej bramie patrzy się na inne cnoty niż w bramie dla zwykłych ludzi. Wiele mogą wybaczyć, lecz jeszcze więcej wymagają. Nie wprowadzają dusz przez tę bramę anioły, lecz walkirie.

Tymczasem jednak dziewczyna siedzi w swoim pokoju z niańką, niby przestraszona, lecz bardziej rozbawiona całą sytuacją. Jakież to zabawne, wszyscy siedzą razem w domu, nie trzeba nic wielkiego robić, to prawie tak zabawne jak podróż na wieś w lecie! Tylko tata i bracia tacy poważni, z bronią. I Hoss, uczeń taty, taki śliczny, tak dorosły i taki męski, chociaż ma dopiero szesnaście lat, tak cudnie wygląda przy oknie, jak żołnierz na warcie, spoglądając przez lekko rozsuniętą okiennicę, gdy ściska w dłoniach pistolet. Tak, taka rewolucja to bardzo zabawna i romantyczna rzecz.

Joachim postanowił skierować się do oberży, tego węzła komunikacyjnego niespokojnych czasów. Wybrał karczmę „Pod huzarem” – nie przez sentyment, lecz dlatego, że przed drzwiami stało dwóch uzbrojonych młodzieńców nie noszących czerwonych czapek. To zwiastowało, że goście nie darzą rewolucji zbytnią atencją. Gdy podszedł do strażników, skłonił się uprzejmie.

– Panie... – zagał.

– Von Rakotsch. To mój sługa, Helmut.

– Rotmistrz Joachim von Egern. Chwilowo incognito, lecz przed ziomkiem i przyzwoitym szlachcicem mogę zdradzić tożsamość. Pan, jak rozumiem, również Madziar?

– Owszem, lecz wychowany w stolicy. Czego pan tu szuka, panie rotmistrzu von Egern?

– Nie sędzę, bym mógł rozmawiać o tym na ulicy... – odparł Joachim tajemniczo i znacząco spoglądając w ścianę za swoim rozmówcą. – W dzisiejszych czasach ludzie przyzwoici muszą mieć się na baczności.

– Ach tak... A zatem, kawalerze, jesteśmy tutaj nieprzyjaciółmi cesarza, co pan na to?

Joachim nie mógł aż uwierzyć w tak nieskalaną naiwność. Uniósł się więc udawanym gniewem.

– Nieprzyjaciółmi cesarza? Ach, panie, zatem nie chcę mieć z tobą ani z twymi towarzyszami nic wspólnego! Ciesz się, że to ja zacząłem rozmowę – w przeciwnym razie zastrzeliłbym cię! Odchodzę, gdy spotkamy się znowu, będę zmuszony bić się z panem. Kocham cesarza i nienawidzę rewolucji! – wykrzyknął.

– Ciszej, mój panie. Widzę, żeś zacny człek. Wybacz, że musiałem uciec się do podstępu, ale nie można teraz nikomu ufać. Wrogów cesarza tutaj nie znajdziesz, sama zacna szlachta i dobrzy żołnierze, co chcą bić się za swojego władcę – wyszeptał konfidencjonalnie młody szlachcic.

– Ach, tak... Rozumiem. Wybacz zatem, panie, me ostre słowa.

– To nic takiego. Ale ciągnijmy to przedstawienie. Za twoim pozwoleniem, panie, przegnam cię stąd, jako rojalistę, ty zaś wejdiesz do oberży tylnymi drzwiami, podając hasło „Niech Bóg chroni cesarza”. Dzięki temu nie zdekonspirujemy naszego obozu – tak, obozu, to zaiste jest obóz wojskowy – przed szpiegami Kleiderpetera.

– Rozumiem, panie. Czyń zatem, co trzeba.

Młodzieniec uniósł strzelbę do ramienia.

– Precz, wraży rojalisto! Tutaj są sami dobrzy rewolucjoniści! – wykrzyknął teatralnie.

Joachim nie mógł uwierzyć, że było to aż tak proste. Odszedł kawałek, po czym ominął oberżę i udał się do kuchennego wejścia, podając owo niezwykle trudne do odgadnięcia hasło. Otwarto mu drzwi. W środku zasiadało czcigodne gremium. Kilku żołnierzy – podoficerów, kilku szlachciców. W sali powitał go von Rakotsch:

– Panowie, oto pan Joachim von Egern. Zechce się pan przedstawić, powiedziec o sobie parę słów?

Joachim rozejrzał się. Nie widział znajomych twarzy.

– Jestem rotmistrz Joachim von Egern, jeszcze niedawno szef szwadronu w szóstym pułku huzarów – skłamał Joachim. – Pochodzę z Egernów z Mindsztenz. Chcę walczyć, a jeżeli będzie trzeba, to zginąć za cesarza.

Rozległy się brawa i wiwaty. Von Rakotsch uciszył zebranych, i powiedział:

– Panowie, takich ludzi nam trzeba! Oficerów, żołnierzy, ludzi chcących walczyć, nie tylko gadać i martwić się! Wiwat pan rotmistrz! Niech żyje cesarz!

Znow brawa i wiwaty. Joachim wystąpił:

– Rację ma kawaler von Rakotsch. Nie lubię gadać, chcę walczyć. Dlatego nie zabawię tutaj zbyt długo. Zamierzam zorganizować regularny oddział do walki z buntownikami, pod nazwą Legionu Cesarskiego. Będzie to jednostka kadrowa, jak wiemy,

nasza armia poszła w rozsypkę. Po jej odtworzeniu dzisiejsi żołnierze Legionu Cesarskiego zostaną wysokimi oficerami. O tak, panowie, za dwa lata wszyscy będą wam zazdrościć szansy, która dziś jest przed wami – oto, stając dziś jako prości żołnierze, by własną pierśią bronić naszego cesarza, zapewniacie sobie wieczną chwałę. Ci, którzy zginą – nie oszukujmy się, będą ofiary – złotymi zgłoskami wypiszą swe nazwisko na pomniku bohaterów. Ci którzy przeżyją, staną się odnowioną, rycerską kadrami nowej cesarskiej armii.

Świeciły im się oczy. Jak łatwo wierzy się w takie wizje, pomyślał rotmistrz. Wystarczy obiecać, że staną się lepsi, że zostaną wywyższeni. Nic więcej nie trzeba. Dobrze im tak...

– Nie będę teraz wiele mówił. Wszystkiego dowiecie się na zbiórce. Bądźcie gotowi jutro, o siedemnastej. Niech każdy z was weźmie ze sobą tylu zaufanych ludzi, ilu będzie mógł do jutra zebrać. Przyślę wtedy tutaj mojego łącznika, który będzie rozmawiał tylko z panem von Rakotsch. Poda on miejsce i czas spotkania. Tam wszystko się wyjaśni. Na dzisiaj to tyle.

Uklonił się i ruszył ku drzwiom, nie zważając na pytania i okrzyki, jakimi zasypywali go zgromadzeni. Tacy głupi. Cóż, widać nie zasłużyli na lepszy los – myślał.

Udał się do mieszkania, jakie na Nowym Mieście otrzymał od Kleiderpetera. Rozłożył swoje przybory pisarskie, napisał krótki i zwięzły raport, w którym zażądał na jutro pięćdziesięciu muszkieterów. Na ludzi zapotrzebowania nie zgłaszał, wiedząc, że będzie dobrze przyjęte w centrali, gdy poradzi sobie z tym, co oddano mu do dyspozycji. Następnie wezwał gońców, którym wręczył szczegółowe instrukcje dla swoich podkomendnych – wybrał tylko piśmiennych. W krótkich rozkazach polecał każdemu z nich sprowadzić dziesięciu oddanych rewolucji ludzi jutro, na szesnastą, do parku Griinewald. Polecał obiecać im, że złapią kilkudziesięciu arystokratów i będą mogli podzielić się łupem.

Nazajutrz nad ranem przybył wóz ze strzelbami. Joachim osobiście dopilnował dostarczenia ich na miejsce zbiórki, do lasu. O siedemnastej wszystko było już gotowe. W lesie ukrytych było pięćdziesięciu zbrojnych, pod wodzą pięciu rewolucjonistów Joachima. Tytułował ich „swoimi porucznikami”, co nie było zgodne z przyjętą praktyką rewolucyjną, za to wspaniale łechtało próżność nieudanych czeladników. W dwa dni z lumpów i popychadeł przeobrazili się w panów... tfu, towarzyszy oficerów. Wspaniale. Do oberży „Pod huzarem” wysłał gońca, polecając przyszłym żołnierzom Legionu Cesarskiego zebrać się w parku, o osiemnastej, pod wielkim dębem, na polanie otoczonej gęstymi krzakami, w których łatwo mogli się ukryć jego ludzie.

Przybyli gromadnie, było ich ponad osiemdziesięciu. Oczywiście, żaden z nich nie sprawdził, czy to nie zasadzka, nikt nie poszedł na zwiad, nikt nawet nie przyjrzał się uważnie zaroślom. Wszyscy rozprawiali ze swadą o stopniach, orderach i bohaterstwie. Joachim stał na łące, z piątką ludzi pod bronią. Nakazał wszystkim ustawić się w czterorzędowej linii, a oni spełnili ten rozkaz z radością i bez szemrania – oto zaczęła się musztra, już jesteśmy żołnierzami! Kiedy na znak Joachima, z krzaków wyszło pięćdziesięciu strzelców, ze zdziwienia nawet nie zareagowali. Wielu z dzielnych kontrewolucjonistów było uzbrojonych, lecz gdy Joachim nakazał im rzucić broń, zrobili to bez protestów. Zanim dobrze zrozumieli, co się stało, byli już skrupowani zawczasu przygotowanymi sznurami. Następnie skrzętnie odebrano im wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, bo też nic lepiej nie przywiązuje do dowódcy niż łupy. W specjalnym piśmie do Kleiderpetera Joachim zapewnił swoim jeńcom pierwszeństwo do egzekucji. Jeszcze tego samego dnia wszyscy zostali skazani i posiekani kartaczami w winnicy Derflingen.

Joachim wrócił do swego mieszkania. Nie dobył tego dnia broni innej niż pióro, papier i pieczęć. Szybko się uczył. Spać położył się wcześniej, po zjedzeniu lekkiej kolacji. Jednak jego sen tej nocy zakłócono aż dwukrotnie.

\*\*\*

Za pierwszym razem obudził go jeden z jego ludzi.

– Towarzyszu komisarzu, przyjechał tutaj pod dom jakiś żołnierz, awanturował się i chciał towarzysza wyzwać na pojedynek. Chcieliśmy go pojmać żywcem, lecz wygląda na tęgiego zabijakę. Gdy próbowaliśmy go schwytąć, posiekł Martina i Hansa szablą. Możemy go zastrzelić, jednak zakazałem strzelać bez pozwolenia towarzysza – zameldował.

– A co teraz robi? – zapytał Joachim, zupełnie już rozbudzony.

– Stoi przed domem z pistoletem gotowym do strzału i czeka.

– Idę zatem do niego. Pod żadnym pozorem nie wolno wam do niego strzelać, zrozumiano?

– Tak jest.

Joachim wyjrzał przez okno. Na ulicy, na kiepskiej szkapie siedział wachmistrz Slobodan Draga. Nie krył się. Był w pysznym, galowym mundurze wachmistrza ułanów krestwińskich, w prawej dłoni dzierżył pistolet, zaś z nadgarstka zwieszała się na temblaku szabla. Joachim ubrał się pospiesznie i zszedł na dół. Nakazał otworzyć drzwi i wyszedł do ułana.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał.

– Bić się z panem – odpowiedział Draga.

– Dlaczego?

– Boś zamordował moich przyjaciół. – odpowiedział Draga i spojrzał w twarz Joachima, rozpoznając go. – Tyś jest mój więzień... Jam cię tutaj przyprowadził... – powiedział zdumiony. – Kim jesteś?

– Jestem rotmistrz huzarów Joachim von Egern.

Draga siedział w siodle, milczał przez chwilę, jakby nazwisko Joachima obudziło w nim wspomnienia.

– Słyszałem o was, panie rotmistrzu.

– Coście słyszeli, wachmistrzu Draga?

– Wiele... Wcześniej, głośno było o was, żeście świetny oficer, odważny i dobry dowódca. Paru ludzi z mojego pułku dostało nawet pozwolenie na przeniesienie się do waszego szwadronu...

– Kto taki?

– Zoltan Peskovic, Radko Bilic i jeszcze paru, których nie pomnę...

– Ha, ja ich pamiętam – odparł huzar.

Przez chwilę poczuł się, jakby ze starym znajomym wspominał dobre czasy. Draga również, lecz zmytygował się szybko.

– Doszły mnie też wieści o tym, jak żeście, panie rotmistrzu, zwariowali i jęli mordować ludzi w południowych prowincjach. Mówiono, że was pojмали. Nie wiedziałem jednak, że to was prowadzę do stolicy...

– Dobrze. Czego więc chcesz ode mnie, Draga? Dalej chcesz się bić?

– Jak najbardziej, panie rotmistrzu. Jesteście łajdak i szaleniec, na dodatek teraz przystaliście do buntowników. Godzi się was zabić.

– Dlaczego więc nie strzelasz? Stoję przed tobą bez broni, a ty masz w ręku pistolet. Zakazałem moim ludziom strzelać. Co prawda, gdy mnie zabijesz, zginiesz na pewno, ale nie wierzę, żeby krestwiński ułan bał się śmierci.

Draga patrzył długo na Joachima. Ręka z pistoletem nie drgnęła. Von Egern miał w kieszeni swój dwustrzałowy pistolecik, ale nawet nie próbował po niego sięgnąć.

– Nie boję się śmierci. Nie strzelam, bo to przecież nie godzi się palić do nieuzbrojonego.

– A skąd pomysł, że będę się z tobą bił? Jestem szlachcicem i oficerem, ty zaś prostym chłopem i ledwie wachmistrzem.

– Po pierwsze, żaden z was oficer i szlachcic, bo was zdegradowano i schłopiono. Ale szczał na to pies. Jesteście żołnierz i kawalerzysta, jak ja. Tak samo nadstawialiśmy karku w szarżach. Jeżeli odmówicie pojedynku, toście tchórz – powiedział butnie Draga.

– Macie rację, wachmistrzu Draga. Nie odmówię. Kto wybiera broń?

– Wy, panie rotmistrzu.

– Dobrze. Szpady, a potem pistolety.

Draga skrzywił się. Nie władał dobrze szpadą, nigdy nie uczył się fechtunku. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że z szablą w dłoni, jeden na jednego, pewnie też von Egernowi nie da rady – prawdziwy fechtmistrz to więcej niż znudzony sierżant w pułku, który pokazał, więcej niż ćwierć wieku temu, młodemu Dradze trzy cięcia pieszo i dwa konno – jedno z primy, drugie z tercji. Oczywiście, trzydzieści lat w siodle dały wachmistrzowi sporo doświadczenia, bez kłopotu zasiekłby każdego młodego adepta szermierki. Głowa pełna teorii tylko przeszkadza w walce. Jednak u von Egerna teoria zweryfikowała się przez praktykę, były huzar zapomniał o tym, co niepotrzebne czy głupie. No cóż, raz kozie śmierć.

– Dobrze. Szpady, a potem pistolety.

– Kiedy?

– Zaraz. Powiedzmy za kwadrans, na moście. Jest oświetlony, a teraz i tak nikt nie chodzi po nocy, bojąc się takich jak pan, panie rotmistrzu.

– Dobrze. Dostarczysz broń? W takim razie za pół godziny. Rozumiem, że obejdziemy się bez sekundantów?

– Owszem. Za pół godziny na moście.

Draga zawrócił konia i odjechał. Kilkadziesiąt kroków dalej ścisnął swoją chabetę łydkami i pokłusował, niemiłosiernie hałasując w uśpionym i przyczajonym mieście. Wojskowe podkowy pięknie brzmiały na stołecznym bruku.

Wachmistrz odwiedził zaprzyjaźnionego miecznika, który swojego czasu sprzedał mu świetną, chociaż starą głownię do szabli, dorobiwszy do niej regulaminową pochwę z mosiężnymi okuciami i podoficerską rękojeść. Draga wiedział, że można do tego rzemieślnika zajść o dowolnej porze, podobnie, jak do doktora, lecz w zgoła odwrotnym celu. Po chwili wyszedł z futerałem zawierającym dwie piękne, pojedynkowe szpady o długich, hiszpańskich głowniach. Pod drugą pachą trzymał puzdro z parą angielskich pistoletów.

Joachim był na moście na czas, Draga również. Na szerokiej na pięć stóp kamiennej balustradzie stary ułan rozłożył pudła z bronią. Chabeta, rozkulbaczona, stała na ulicy u wyjścia z mostu. Kulbaka, cały rząd i ułańskie oporządzenie, w nienagannym porządku, leżało na balustradzie.

– Panie rotmistrzu, z racji braku sekundantów, muszę się do pana zwrócić z dwiema prośbami.

– Słucham, wachmistrzu Draga.

– Gdybym zginął, proszę pana o nadanie tych listów pilną pocztą do Zagrzebia.

Wachmistrz podał Joachimowi dwa zapieczętowane listy, zaadresowane na poste restante, na nazwiska Živko Draga i Teresa Draga.

– Moje ciało, jak również zgromadzone tam oporządzenie, proszę wrzucić do Dunaju. Druga prośba – proszę zaopiekować się moim koniem. Wiem, że to szkapą, ale, było nie było, jestem kawalerzystą, a to mój wierzchowiec.

– Rozumiem, nie musisz mi tłumaczyć, wachmistrzu, jak traktuje się konie.

– Tak, oczywiście. Szpady i pistolety po pojedynku proszę odwieźć do miecznika Rudolfa Messerschmidta, na Fürstenstrasse 12. Tutaj, proszę, jest dwadzieścia talarów.

Draga podał Joachimowi sakiewkę.

– Wystarczy na listy i obrok dla mojego konia, póki nie zdechnie ze starości. Jak coś zostanie, proszę dać na mszę za moją duszę.

Joachim przyjął złoto.

– Zatem, do dzieła, wachmistrzu – powiedział.

Obaj zdjęli wierzchnie okrycia, pozostając tylko w koszulach. Ujęli szpady, wykonali niedbałe ukłony szermiercze i stanęli w pozycjach.

– Zaczynamy bez komendy, panie rotmistrzu.

– Cztery złożenia.

– Dobrze.

Zaczęli. Draga przypomniał sobie wszystko, co pamiętał o szermierce szpadą. Joachim nie musiał sobie niczego przypominać. Ruszył do przodu, po dwóch krokach wykonał botta lunga – długi wypad, Astarloa, z uporem maniaka trwając przy klasycznej szkole, używał włoskiej terminologii. Wachmistrz sparował pchnięcie nieudolną kwartą. Joachim dostawił zakroczną stopę, ponowił natarcie z pierwszej linii, wykonał łatwą, podręcznikową fintę, omijając jeszcze bardziej nieudolną zasłonę z secondy i przebił prawe ramię wachmistrza. Odkoczyli od siebie.

– Pierwsze złożenie – powiedział Draga.

– Bez dyshonoru możemy zakończyć ten pojedynek. Nie jesteście zdolni do dalszej walki, wachmistrzu Draga. Z szablą pewnie poszłoby wam lepiej.

– Pierwsze złożenie – z naciskiem powtórzył Draga.

– Dobrze, jak chcecie.

Znów stanęli w pozycji, tym razem Draga zaatakował. Joachim tylko się bronił, z łatwością powstrzymując ataki i tak przez kolejne dwa złożenia.

– Czwarte złożenie. Pistolety. Każdy ładuje swój – powiedział wachmistrz.

Obaj uczynili to sprawnie.

– Dwadzieścia kroków, do skutku – zaproponował ułan.

– Zgoda. Twój jest pierwszy strzał.

Odmierzili dwadzieścia kroków. Joachim stanął prawym bokiem, z prawą ręką zgiętą i przyciśniętą do ciała, trzymając pistolet pionowo na wysokości twarzy. To klasyczna postawa pojedynkowa, zgięty łokieć teoretycznie osłania płuca, broń głowę. Draga ujął pistolet lewą dłonią, wycelował, strzelił. Kula minęła o dwa palce lufę broni Joachima, po czym lekko otarła się o jego prawą skroń, rozrywając tylko skórę. Joachim nie zadrzał nawet. Nie bał się śmierci.

Draga stanął tak samo jak huzar wcześniej, tylko odwracając się lewym bokiem. Joachim otarł krew z twarzy, wycelował, nacisnął spust. Trafił Dragę w lewe ramię. Pocisk przebił biceps ułana, przeszedł między żebrami i trafił w serce. Slobodan skonał w kilka sekund.

Duszy żołnierza nie chcieli w bałkańskim niebie, przecież on zdrajca, sługus zaborcy! Nie chcieli go również w tym przeznaczonym dla dobrych ludzi – oto brutal, okrutnik, nadzorca więźniów. Zapukał więc do nieba dla żołnierzy, a tam powitano go manierką mocnej rakiji i kotłem dymiącego jada. Tylu tak dawno nie widzianych towarzyszy! Zasiadł więc przy ognisku i, odgryzając co chwila wielkie kawały od pajdy świeżego chleba, zanurzonej w sosie z gotującego się gulaszu, jął czyścić szuwaksem skórzane części oporządzenia. Po chwili do ogniska podszedł Pan w mundurze porucznika ułanów. Spróbował gulaszu, pochwalił kucharza, wziął łyka rakiji, jednak nie spoufalał się bardziej, niż to przystoi porucznikowi względem podoficerów. Podszedł do Slobodana, który natychmiast stanął na baczność. Porucznik położył mu rękę na ramieniu.

– Dobrze się spisaliście, wachmistrzu – powiedział.

Draga zasalutował i siadł przy ognisku, wielce zadowolony z pochwały. Łyknął wódki i wrócił do czyszczenia swoich lederwerków.



Rotmistrz przez chwilę stał bez ruchu. Podeszedł potem do ciała, podniósł je i przez balustradę wrzucił w czarne wody Dunaju. Zepchnął również cały ekwipunek ułana. Szablę zostawił na sam koniec. Wyciągnął najpierw głównię z pochwy, przejechał kciukiem po ostrzu, wygiął parę razy, próbując hartu, machnął kilkakrotnie w powietrzu. Zaczyna szablę, pomyślał i z zalem schował broń do pochwy zanim cisnął ją do rzeki. Spakował szpady i pistolety do pudeł i odwiózł do miecznika. Zostawił mu również sakiewkę i konia wachmistrza Dragi, z przykazaniem opieki nad chabetą aż do końca jej dni. Wrócił do swego mieszkania i opatrzawszy sobie ranę, położył się spać. Jednak jeszcze raz został zbudzony tej nocy.

\*\*\*

Obudził go głuchy hałas padającego za drzwiami ciała. Von Egern sięgnął po pistolet i odwiódł kurek.

– Martin?! – zawołał jednego ze swoich ludzi.

Odpowiedziała mu cisza. Powoli uchylił drzwi. Otworzył się jedynie na kilkanaście cali – zablokowało je ciało Martina. Miał poderżnięte gardło, leżał w kałuży krwi, drgając jeszcze. Joachim nagle podjął decyzję – cofnął się o krok i barkiem uderzył w drzwi, przesuwając trupa. Wypadł na korytarz i zanim się zorientował, ktoś, zaczajony za drzwiami, chwycił go za uzbrojoną dłoń i gwałtownie wykręcił ją do tyłu. Cios, który rotmistrz zadał za siebie, trafił w próżnię. Napastnik umiejętnie i szybko założył mu dźwignię na nadgarstek. Joachim wypuścił broń. Kopnięcie pozbawiło go równowagi. Runął na ziemię. Gdy upadał, jego przeciwnik zręcznie obrócił go na plecy przygniótł do podłogi, przykładając do czoła obie lufy jego własnego pistoletu. Joachim sięgnął do prawej łydki, po sztylet, lecz nie było go tam, był przecież bez butów.

– Spokojnie, chłopcze. Powiedzmy sobie szczerze, dałeś się podejść jak szczeniak, nie graj więc teraz zaszczutego wilka – powiedział don Jaime de Astarloa.

Ubrany był cały na czarno, nawet twarz miał wysmarowaną węglem. Lewą ręką schował do pochwy zakrwawiony sztylet, nie wycierając główki. Puścił Joachima i wstał lekko, jednak broń dalej trzymał wymierzoną w jego czoło.

– Wejźmy do izby – powiedział.

Rotmistrz wstał, ciągle obolały i, kuśtykając wszedł do swojego mieszkania, po czym usiadł na łóżku. Fechtmistrz wszedł za nim i starannie zamknął drzwi. Stał na środku pokoju, nie przestając celować do huzara.

– Pamiętasz, gdy miałeś siedemnaście lat, ćwiczyliśmy na dziedzińcu. Twój ojciec przyglądał się z okna. To było kilka godzin po twojej pierwszej walce, z której byłeś bardzo dumny...

\*\*\*

Głuche uderzenia stóp i ciche zgrzytnięcia główki.

Prima, terza, prima, prima, seconda, dobrze, opuść, pass, prima, dobrze!

Dobiegający z dziedzińca monotony głos nauczyciela szermierki usypiał starego hrabiego w jego komnacie.

Anzelm von Egern zepchnął wreszcie leżącą w nieładzie pościel – poduszki, kołdry, kapy i koce, rozchylił kotary baldachimu i na oślep sięgnął po sznur dzwonka, po czym szarpnął go gwałtownie, wzywając lokaja. Jeszcze dziesięć lat wcześniej sługa, który przychodziłby do komnaty tak niespiesznie, jak wszedł do niej młody Imre, dostałby dziesięć batów i kopniaka jako odprawę. Ale hrabia na starość miał miękkie serce, a służba o tym

wiedziała. Imre rozsunął zasłony w oknach, podał hrabiemu pantofle, szlafrok i kubek grzanego wina.

– Okulary! – powiedział hrabia, zaś sługa powoli rozpoczął poszukiwanie.

Gdy wreszcie para grubych szkieł spoczęła na wydatnym nosie starego szlachcica, hrabia zdecydował się wstać. Wychylił wino, nakazał podać sobie miednicę, brzytwę i zwierciadło. Gdy ujął brzytwę dłonią, przypomniał sobie, że zbyt trzęsą mu się ręce, by samemu się ogolić. Kazał więc postawić przed sobą lustro. W szerniałej tafli obserwował, jak zręczne dłonie chłopaka usuwają szarosiwy, kilkudniowy zarost z jego policzków, pooranych bruzdami zmarszczek. Hrabia był kompletnie łysy, na jakby zbyt obszernej skórze czaszki wyraźnie widać było ciemne plamy, twarz miał porowatą i gąbczastą, pod wielkim nosem zaś siwy wiecheć, który niegdyś był wąsem.

Mam łeb starego sępa, jakie widuje się na stepie przy padłej krowie, pomyślał hrabia.

– Mam łeb starego sępa – powiedział do lokaja.

– Ależ skąd, wasza hrabiowska mość. Jest pan ciągle pięknym mężczyzną – zaprzeczył Imre, chłopiec dwudziestoletni, o pięknej, smukłej sylwetce i ładnej buzi.

Hrabia był stary, ale nie był jeszcze głuchy. Dosłyszał ironię. Poczekał, aż Imre skończy go golić, po czym sięgnął po szpicrutę i trzasnął sługę w twarz. Ten zasłonił się łokciem i rzucił do ucieczki. Hrabia ryknął za nim:

– Zanim podwiniesz ogonek, psi synu, otwórz okiennice i ustaw mi fotel przed oknem tak, bym widział mojego Joachimka, jak ćwiczy.

Stary hrabia patrzył na dziedziniec. Na śniegu stali najmłodszy syn starego arystokraty, Joachim i jego nauczyciel szermierki, Jaime de Astarloa. Nie zważając na mróz, obaj byli jedynie w pludrach i koszulach. Dyskutowali o czymś zawzięcie.

Joachimku mój, myślał stary von Egern. Tylem cię już przy sobie utrzymał. Czas na ciebie. Nie wiesz o tym, lecz w szufladzie mojej czeka na ciebie oficerski patent... Pójdiesz w huzary, jak twój ojciec... Tymczasem Joachim z zapalem relacjonował don Jaimemu walkę, którą dziś odbył – na ostre. Fechtmistrz nie zdradzał nawet ułamka owego entuzjazmu, jaki przejawiał młody szlachcic. Gdy Joachim skończył opowiadać całą sekwencję pchnięć i zasłon, szermierz skrzywił się i z kwaśną miną powiedział:

– Widziałem ten pojedynek, miałem ze sobą na spacerze lunetę...

– I jak mistrz ocenia moje zwycięstwo? – indagował Joachim, zaskoczony.

– Jak najniżej – odparł zimno don Jaime.

– Dlaczegoż?! – zapytał wstrząśnięty chłopak. – Przecież pokonałem go!

– Kawalerze, dopuścił się kawaler najgorszego...

– Jak to?

– Przy trzecim złożeniu odpowiedział kawaler na proste pchnięcie w pierwszej linii secondą, zamiast, jak należało, kwintą. Z tegoż powodu musiał się kawaler w żaloszny sposób uchylać całym ciałem od tego pchnięcia...

– No a cóż miałem zrobić? Dać się przebóść, bo mi się parada zmyliła?

– Mój drogi kawalerze, szermierka jest sztuką. To nie machanie cepem, czy dżganie bagnetem. Należy ją czynić tak, jak przystoi kawalerowi waszego urodzenia, albo wcale, bo takie wstrętne zachowania prowadzą wprost do degeneracji. Mało brakowało, by kawaler chwycił drugiego duelanta lewą dłonią!

– Cóż pleciecie, mistrzu! Przecież właśnie ta kwinta dała mi przewagę, dzięki której sekundę później zdołałem przebić mu udo... – powiedział coraz bardziej przerażony Joachim.

– Tym gorzej... Gdyby to ode mnie zależało, kalających szermierkę pozbawiłbym zdolności honorowej. Zwycięzać – tak, ale tylko zgodnie ze sztuką, to, co kawaler wczoraj uczynił, było, w moim odczuciu, wstrętne. Kawaler zwyciężył przez przypadek.

Stary hrabia przyglądał się całej scenie z rozbawieniem. Tymczasem Joachim zaperzał się coraz bardziej.

– Jakże to być może, mistrzu de Astarloa! Jaki przypadek! Lepszy byłem!

– Za przeproszeniem kawalera. Stracił kawaler równowagę i stanął w secondzie. Każdy, nawet tylko trochę lepszy szermierz, mógł zwykłym uderzeniem w forte wybić kawalerowi szpadę z dłoni. W pojedynku zostałby kawaler upokorzony, w walce – martwy. Sam nie wiem, co gorsze...

– Bzdura! – wrzasnął Joachim.

Ho, ho, ho, teraz, synku, przesadziłeś. Tak się do don Jaimego nie mówi. Da ci on teraz szkołę, oj da, pomyślał sobie stary hrabia, obserwując swojego syna i fechtmistrza z coraz to większą uciechą.

– Kawalerze von Egern, nie przywykłem, by uczniowie zwracali się do mnie w ten sposób. Tuszę, że skoro ma kawaler czelność tak mówić, to jest kawaler lepszym szermierzem ode mnie. To impertynencja, ale usłyszawszy taką uwagę od lepszego przyjdzie mi ją znieść jakoś – powiedział Astarloa, idąc ku stojakowi, na którym wisiało kilka szpad i szabel.

Wziął ze stojaka dwie ostre, włoskie klingi, bez punt. Podeszedł do Joachima i podał mu jedną.

– Zechce kawaler odłożyć maskę i floret.

– Ale... co... mistrzu! Mam się z mistrzem bić w ostre? – nie wierzył Joachim.

– Kawalerze, jako szlachcic nie powinien mieć kawaler nic przeciwko postawieniu za własnym słowem swojej głowy. Skoro, to co mówię, to bzdura – proszę, oto moja szpada.

Hrabia von Egern aż zakrywał usta dłonią, aby nie parsknąć głośnym śmiechem. Joachimku, tylko nie zrób z siebie baby i tchórza, i przypadkiem nie zacznij teraz przeproszać, myślał. Syn nie zawiódł ojcowskich nadziei. Młody von Egern drżącą ręką odwiesił na stojak maskę i floret, wrócił na wyrysowaną kredą na kamiennych płytach dziedzińca planszę, zasalutował szpadą i stanął w pozycji. Don Jaime widział wyraźnie, jak chłopakowi drżały ręce i kolana. Mimo odległości zauważył to nawet ojciec Joachima. Smarkacz chyba naprawdę myśli, że Astarloa chce go zabić, tu i teraz, na moim dziedzińcu. Dzielny z niego chłopak, ale bystry nie jest, stwierdził.

– Zaatakuję kawalera w taki sam sposób, w jaki zaatakował ten chłopiec, któremu kawaler przebił udo. Prostym pchnięciem w pierwszej linii. Kawalerowi pozostawiam wybór właściwej obrony – powiedział fechtmistrz.

Rozluźnił mięśnie prawej ręki, zaatakował. Joachim uniósł się honorem i wykonał nieco zbyt pospieszoną secondę, przesuwając głownię szpady don Jaimego poza linię pchnięcia. Zdążył nawet poczuć już cień satysfakcji i postanowił zaskoczyć mistrza innym manewrem. Natychmiast po secondzie wykonał półobrót na stopie wykroczonej – demivolte, jak nazywał to fechtmistrz. Chciał zrobić umbrocatta – pchnięcie szpadą trzymaną odwrotnie, kostkami palców do góry, jednak don Jaime uprzedził go. Świetnie trafiając w odpowiedni moment, silnie uderzył płazem swej głowni w szpadę Joachima, blisko sztychu. Broń wyleciała pięknym łukiem, z brzękiem uderzając o płyty dziedzińca. Fechtmistrz zrobił dwa kroki do tyłu, zasalutował i stanął w pozycji. Joachim, czerwony ze wstydu, podniósł swoją broń.

– Jeszcze raz to samo, kawalerze – powiedział don Jaime i zaatakował.

Joachim, zacisnąwszy zęby, parował secondą. Don Jaime płynnie zmienił linię pchnięcia i sztych jego szpady zatrzymał się na lewej piersi Joachima, zagłębiając się na pół cala. Wyglądało to jak ukłucie, jednak spod przebitej skóry obficie popłynęła krew. Joachim krzyknął i dotknął rany. Stary hrabia śmiał się głośno, nie przerażała go powiększająca się plama krwi na koszuli syna.

\*\*\*

– Pamiętam. Dał mi mistrz nauczkę wtedy – powiedział Joachim.

– Tak. Jednak, z przykrością muszę powiedzieć, że myliłem się.

– Dlaczego?

– Bo tutaj nie ma dobrej drogi. Weźmy naszą sytuację. Niedawno był u ciebie wachmistrz Draga, dobry żołnierz. Radzili mu – weź sztucer, zaczaj się na dachu, poczekaj aż wylezie, zabijesz go szastprast. A Draga obruszył się i powiedział, że jest żołnierzem, nie ptasznikiem i zamierza walczyć jak żołnierz. No i skończył jak się spodziewałem, w rzece. W końcu brałeś u mnie lekcje.

– Z pistoletu mnie mistrz strzelać nie uczył – zauważył Joachim.

– Ano nie. Ani uchylać się od kul, bo tego nie potrafię. Na drugą drogę wstąpiłem ja, jeszcze w więzieniu. Uznałem, że to nie ludzie, to szczury, będę walczył jak ze szczurami. Dlatego teraz tutaj jestem i celuję w ciebie z twojego pistoletu. Zabiłem wszystkich twoich ludzi, tylko jeden widział moją twarz i wiedział, że umiera. Resztę zasztyletowałem w ciemnościach, zachodząc od tyłu.

– Więc wygrałeś?

– Nie. Przegrałem. Stałem się taki jak ty. Nie jestem już szlachcicem, jestem mordercą. Jak ty. Jestem lepszy od ciebie, bo to ja ciebie trzymam na muszce. Teraz cię zabiję, czego zapewne sam się spodziewasz, ale to ona wygrała. Z nią nie można wygrać. W więzieniu wybiłem jej zęby, ale one jej odrosną. Rewolucja demoralizuje nas, nie bacząc na nasze zdanie. Porażka w walce jest zbrodnią. Draga nie pozostał bez winy, kładąc swoje życie na ołtarzu honoru. Miał za zadanie walczyć i zwyciężyć. Nie ma chwały dla pokonanych. To nie pojedynek. Ja walczyłem i zwyciężę – upodliwszy się.

Don Jaime wyciągnął rękę z pistoletem. Joachim zajął w dwa ciemne otwory luf. Trzasnęły drzwi, wysadzone z zawiasów potężnym kopnięciem.

– Nikt tutaj nie umiera bez mojego pozwolenia! – Ryknęła rudowłosa. – Ja decyduję, kto ma żyć, kto nie!

– Giń, suko – powiedział don Jaime i strzelił do dziewczyny z obu luf, dwukrotnie pociągając za spust.

Obie kule trafiły ją w brzuch. Joachim bez chwili zastanowienia rzucił się na fechtmistrza, uderzając go czołem w nos. Astarloa, oszołomiony bólem, upadł na plecy, Joachim zaś znalazł się na nim, siadając okrakiem na szczupłej klatce piersiowej szermierza, ten jednak odzyskał szybko panowanie nad sytuacją. Podrzucił biodra i nogami zahaczył o szyję Joachima, ściągając huzara na podłogę.

Von Egern leżał teraz na plecach. Astarloa natychmiast złapał go za lewą stopę i, brutalnie ją skręcając, zmusił do przewrócenia się na brzuch. Po czym podniósł się i przyklęknąwszy na łopatkach swojego przeciwnika wparł się kolanami w kręgosłup. Don Jaime szarpnął ku sobie nogę Joachima – aż huzar wygiął się w pałąk, pociągnął jeszcze mocniej, aż usłyszał trzask pękającego kręgosłupa. Puścił zwiotczałe nagle ciało, rękawem otarł krew, obficie ciekącą ze złamanego nosa.

Gdy odchylił głowę do tyłu, aby zatamować krwotok, ruda uderzyła go w twarz dębowym siedziskiem trzymanego oburącz, ciężkiego taboretu.

Dusza don Jaimego de Astarloa z nadzieją powędrowała do prywatnego nieba rodu Astarloa, lecz tam odtrącono ją z pogardą – oto ten, który piękne życie przekreślił w trzy dni, powiedzieli zgodnie zasiadający na niebieskich ławach zarąbani przez Maurów rycerze, zmarli od malarii konkwistadorzy, zatopieni razem z Wielką Armadą piękni grandowie. Dusza była zbyt dumna, aby pukać gdzie indziej, poszła więc do diabła.

\*\*\*

Rudowłosa położyła sobie głowę Joachima na kolanach.

– Wstań, mój diable – powiedziała.  
Otworzył oczy.

\*\*\*

Dziesiątego czerwca piątego roku Republiki dwudziestu huzarów z szóstego pułku gwardyjskiego wlokło się powoli drogą, która prowadziła skłaniającymi się ku stolicy zboczami wzgórz. Eskortowali wóz, w którym wieziono rannego generała Joachima von Egern. Kiedy mijali winnicę Derflingen, prowadzący oddział porucznik von Schirach bez słowa wyciągnął szablę i uniósł broń, oddając cześć zabitym. Kilku żołnierzy, weteranów stołecznej rewolucji, skrzywiło się niechętnie, ale prychnięcia kolegów uciszyły ich zaraz i cały oddział zasalutował.

Generał von Egern. Jeszcze niedawno pułkownik von Egern. Order Legii Republikańskiej z Mieczami, pierwszej klasy. Order za Odwagę, pierwszej klasy. Bohater pierwszej wojny rosyjskiej. Bohater bitwy pod Prochorowką, największego starcia kawalerii w historii.

Po stronie Republiki stało siedemdziesiąt pułków jazdy i czternaście artylerii konnej, zaś po stronie Rosjan i sprzymierzeńców osiemdziesiąt dwa pułki jazdy, dziesięć pułków artylerii konnej oraz siedem pułków gwardyjskiej piechoty. Von Egern, wtedy jeszcze pułkownik, po śmierci generała Miltscha przejął dowodzenie całym prawym skrzydłem. Wiedząc, że grozi mu za to albo awans, albo rozstrzelanie, wykonał śmiały manewr – cofnął linię jazdy, pozorując oskrzydlenie. Gdy rosyjscy dragoni mozolnie pięli się w górę, rozciągnięci nadmiernie, pułkownik Egern dowodzący kilkunastoma pułkami, zawrócił i uderzył, jak mówiono później, najpiękniej poprowadzoną szarżą kawaleryjską w historii. Po zmrożonym wczesną zimą stepie pogalopowało dwadzieścia szwadronów najcięższej jazdy – kirasjerów. W pierwszej linii dwa doborowe pułki gwardyjskie.

Drugi klin von Egern sformował z siedmiu pułków średniej jazdy – dragonów i szwoleżerów, uderzając... w pustkę. Dragoni wpadli w lukę między rosyjskimi oddziałami, przygotowanymi do przyjęcia szarży, i oskrzydliwszy, wyrznęli w pień konną artylerię, która mogła zagrozić głównej szarży pułków kirasjerskich. Lekka jazda, huzarzy i szaserzy, poszła na prawym skrzydle kirasjerów. Gdy sztabowcy, stojąc z otwartymi ustami obserwowali poczynania von Egera, ten, w letnim mundurze, w barwnej pelisie, nie dobywszy nawet szabli, lecz dyrygując trzymaną w rękę długą fajką jak buławą, galopował na czele prawie dwudziestu tysięcy kawalerzystów.

Kirasjerzy masą swych koni, pancerzy i długich, ciężkich pałaszy rozbili większość sił rosyjskich i znaleźli się na tyłach centrum wroga. Dowodzący centrum wojsk Republiki generał Schlimm zrobił jedyny możliwy, rozsądny ruch – wydał rozkaz do ataku i główne siły rosyjskie wzięto w kleszcze. Bitwa się skończyła. Pułkownik von Egern został generałem, przyjęto go do orderu Legii Republikańskiej.

Nic jednak nie było warte tych paru chwil, w których galopował na czele dwudziestu tysięcy konnych. Władza, jaką daje papier, upaja do szaleństwa, jednak nie może się równać z bezpośrednim doświadczeniem fizycznej potęgi. Dwadzieścia tysięcy wzniesionych szabel i kirasjerskich pałaszy dzierżył on sam, lekko, dwoma palcami trzymając cybuch fajki. Dwadzieścia tysięcy koni on podrywał do galopu, lekko dotykając ostrogami boków swego wierzchowca. Dowodzenie, w sensie taktyki i narzucenia swej woli innym, zostało za nim. Nie było już czasu na rozkazy, gdyby się zatrzymał, lawina, którą sam wywołał, zmiażdżyłaby go bezlitośnie.

Wraca do stolicy w glorii bohatera; pięć lat rewolucji, pięć lat wojny z całą Europą. Władza Kleiderpetera zaczynała się chwiać. Rudowłosa wezwała, więc jechał do niej. Nie był

sam w wozie. Leżał na skórach, obok zaś siedział stary, siwiuteńki ksiądz, rękami oplatając przysunięte do podbródka kolana.

\*\*\*

Puszczę na wschód od stolicy nazywano Schwarzwaldem. Może od chłodnego półmroku, który nawet w słoneczny dzień spowijał podszycie lasu, pozbawione światła przez rozłożyste korony niebosiężnych buków, dębów i wiązów. Może nazywany był Czarnym od koloru urodzajnej ziemi, powstałej z liści opadających i gnijących w tym samym, niezmiennym od tysiącleci cyklu. Rosłaby tutaj wspaniała pszenica, gdyby las wyrębać i wypalić pnie. Może nazwano go tak od barwy bukowych liści – ciemnozielonych, lecz w wielkiej masie przysłaniających popołudniowe niebo czarnymi plamami.

Myślał o tym chłopiec, spoczywający na miękkim kobiercu z paproci, plecami oparty o omszały pień wielkiego dębu. Pozwalał sobie na marzenia jako jedyny z oddziału, który biwakował na przytulnej polance. Broń chłopca, myśliwska, skałkowa dwururka, załadowana teraz nie śrutem na kaczki, lecz ołowianymi kulami na ludzi, spoczywała na kolanach, wcześniej dokładnie oczyszczona. Również należąca do młodzika szabla była świeżo naostrzona i pokryta oliwą.

W gruncie rzeczy, tylko zawadzała mu ta szabla, bo i pieszemu partyzantowi taka broń na nic. Zaczynali swoje leśne życie zeszłej jesieni, jako konny, szlachecki oddział. Jednak przez zimę zjedli konie, a szlachta rozjechała się do domów. Nowych koni nie było skąd dostać, z okolicznych wsi wszystkie rekwirowało wojsko na potrzeby rozrastającej się w szaleńczym tempie kawalerii – najprzydatniejszej do walki na wschodzie. Tym sposobem, ze szlacheckiej jazdy stali się plebejską piechotą, jedynie on pozostał ze szlachty. Jak tłumaczył sobie – z patriotyzmu i umiłowania cesarza. Tak naprawdę, nie miał dokąd wracać. Rodzice, wujostwo, stryj z córkami, dziadowie i babcie, wszyscy skończyli przysypani cienką warstwą wapna w winnicy Derflingen. Jego pałac zlicytowano, kupił go ich sekretarz, teraz nagle wzbogacony.

Ciemnowłosy, smagły szesnastolatek o przedwcześnie dojrzałej twarzy i starych oczach, bo tak jawiłby się postronnemu obserwatorowi młody marzyciel, pragnął zabijać rewolucjonistów. Pragnął również pozostać szlachcicem. Nosił więc kawaleryjskie szablisko, szaserską modą na długich rapciach, z rękojeścią na dwa cale wyżej kolan. Wbrew pozorom, takie rapcie świetnie się sprawdzają, kiedy siedzi się w siodle. Rękojeść jest wtedy tam dokładnie, gdzie powinna być, gdy sięga się po nią prawą dłonią. Jednak, gdy idzie się piechotą, szabla ciągnie się po ziemi – o tak, można zadawać w taki sposób szyku na balowych parkietach i pałacowych posadzkach. Stukające o marmury szablisko zdradza dobrą partię – przecież to oficer! Jednak w lesie, płacząca się pod nogami, bezużyteczna szabla jedynie zawadza.

Chociaż plebejscy współtowarzysze nie mieli czelności powiedzieć mu tego w twarz, bo w końcu był szlachetnie urodzony, drwili za jego plecami. Sami zbrojni w strzelby, pistolety, w walce wręcz używali siekier i noży. Czasem osadzonych na sztorc kos, strasznej broni, która we wprawnych rękach mogła przerażać człowieka jak szczapę drewna, od obojczyka po pas. Używali, gdy jeszcze się bili. W najlepszym czasie oddział liczył sobie ponad sześćdziesięciu ludzi, dziś pozostał ich zaledwie tuzin. Zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd pójść. Razem trzymał ich wyłącznie autorytet księdza Gerarda.

Stary kapłan nie rozumiał dziejowej konieczności, jak powiedział mu biskup, który bez zmrużenia oka przystąpił do Kościoła Narodowego. Jednak i historia miała poczucie humoru, bo kapłani podzieli się na dwie grupy. Jedni usiłowali, jak wtedy mówiono, „zmodernizować Kościół”, „przyjąć wyzwanie czasów”, „iść z duchem historii”, co łączyło się najczęściej z potulnym oddawaniem dóbr i przysięganiu na wierność rewolucji, potem

zakładaniem schizmatycznego Kościoła Narodowego. Różne były motywy tego postępowania. Niektórzy pragnęli po prostu spokojnie żyć w swojej parafii, inni drżeli o swoją skórę, jeszcze inni szczerze nienawidzili rzymskiego tworu, którego byli sługami. W każdym razie – historia ma poczucie humoru. Po dwóch latach rewolucji to, co u jej zarania było radykalne i postępowe, zmieniło się w kontrrewolucyjne przeżytki feudalizmu. Kościół Narodowy okazał się być bastionem kontrrewolucyjnego teizmu. Oczywiście, część narodowych kapłanów zareagowała z odpowiednim refleksem i ogłosiła założenie Klubu Krzewicieli Ateizmu. Biskup, któremu wydawało się, że rozumiał dziejową konieczność, w rzeczywistości nie wykazał się zrozumieniem, kiedy przyszli po niego noszący czerwone czapki. Był bardzo zdziwiony, gdy z rękami związanymi na plecach przemierzał niedługi dystans między stolicą, a winnicą Derflingen.

Ksiądz Gerard pochodził z ludu, jednak długie lata studiów, koniecznych, aby prosty chłopak z małej słowackiej wioski został kanonikiem w stolicy, dały mu arystokratyczny wstręt do kompromisów. Zwykł być mawiać: o, gdybyż mnie lepiej kuszono! Skromność nie pozwalała mu uznać sprzeciwu wobec pieniącej się herezji za wyraz osobistego bohaterstwa. Jako powód wskazywał nie cechy swojego charakteru, lecz wyjątkową nieudolność diabła. Bo gdybyż mnie lepiej kuszono! A cóż, biskupi i książęta z najstarszych rodów imperium biją pokłony bandzie rozwydrzonych złodziei, brudnych wszetecznic, pijanych przekupek. Kto to widział?

Ze śmiechem opowiadał jeszcze taką historię z czasów, kiedy to siedział w Schloss, razem z paroma księżmi z prowincji. Cała ceta nie mówiła o niczym innym, jak o psie pewnego strażnika. Strażnik nazywał się Kronskey i pochodził chyba z Polski. O psie mówiono różne rzeczy – że to wielki alzacki owczarek, inni twierdzili, że sznaucer albo dog, w każdym razie nazywał się Hegel. Już czwarty kapłan wracał do celi złamany, gdy podpisał listę Kościoła Narodowego. Każdy z nich mówił, że Kronskey poszczuł Heglem i bestia ich pokąsała, nie mieli wyjścia, zagryzłaby inaczej. Któregoś dnia przez kraty zobaczył ksiądz Gerard tę osobliwą parę, Kronskey'ego z Heglem. Garbaty, kulawy pokurcz, ciągnący na smyczy wrzaskliwego, wyliniałego, brzydkiego i brudnego pudła. Potworek z całej siły zapierał się nóżkami, jakby wierzył z uporem, że uda mu się zignorować wolę jego pana. To był właśnie pogromca moich kompanów spod celi, mówił kapłan.

Tamtego wieczoru, który dla młodego marzyciela miał się stać ostatnim wieczorem życia (cóż czyniłby, gdyby wiedział? Wziął w ramiona dziewczynę, aby umierać ze świeżym wspomnieniem jej białych piersi, czy padł na kolana, aby polecić się Bogu?) ksiądz Gerard zrezygnował już z beznadziejnych prób powstrzymania swoich ludzi przed tym, co chcieli uczynić. Nie mogąc ich uratować, postanowił uratować ich dusze. Siedział więc pod drzewem, spowiadał, by potem odprawić mszę świętą, na której wszyscy przyjęli Najświętszy Sakrament.

Chłopiec, chociaż najmłodszy, dowodził całym oddziałem. Kilku ludzi pochodziło z dóbr, należących kiedyś do jego rodu. Nie mogliby rozkazywać potomkowi książąt, nie znieśliby tego.

Po mszy usiedli w kole i każdy wyłożył swój zapas prochu. Wszyscy mieli nabite strzelby – prochu, pieczołowicie zsypanego na płócienną chustę starczyło jeszcze na jakieś trzydzieści ładunków. Każdy odmierzył dla siebie po dwie miarki, resztę podzielono na podsypki. Pewnie myślą, że zdobędą proch na żołnierzach, pomyślał gorzko ksiądz Gerard. Młody dowódca miał jeszcze złudzenia. Sądził, że jeżeli uderzą na spodziewany konwój z dwóch stron traktu, skryci w lesie, to dadzą sobie rady.

\*\*\*

– No i cóż, bandyto, teraz powiesz? – zapytał wachmistrz Geyra młodego rebelianta, siedzącego na koniu ze stryczkiem na szyi.

Chłopiec nie powiedział ani słowa. O czym tu mówić? Miało to i swoje dobre strony – znów w siodle. Nareszcie. Splunął po nogi huzara. Nie było go stać na bardziej doniosły gest, tylko tego żałował. Lecz cóż wzniesłego można zrobić z rękami związanymi z tyłu?

Wachmistrz sieknął nahajem zad konia, mającego wypełnić rolę kata. Młody wałach skoczył do przodu, chłopiec osunął się w tył. Krótkie szarpnięcie liny złamało mu kark.

– A co zrobić z klechą, panie poruczniku? – zapytał wachmistrz.

– Nie godzi się go powiesić. To przecież kapłan. Kula w łeb, zatem – odpowiedział ze śmiechem porucznik.

– Nie – powiedział generał von Egern, uchylając plandeki wozu. – Dawać mi go tutaj. Co z resztą?

– Jak się wasza ekscelencja zapewne domyśla, nie żyją – zameldował Geyra.

Starego księdza pochwyliło za ramiona dwóch rosłych huzarów i wepchnęło na wóz, w którym spoczywał ranny generał. Von Egern odezwał się dopiero po kwadransie.

– Wiesz, księżę, dlaczego żyjesz?

– Nie...

– Bo potrzebuję słuchacza.

\*\*\*

– Dlaczego? – zapytał Joachim.

– Ponieważ jego czas się skończył – odpowiedziała rudowłosa.

\*\*\*

Jak najprościej zatrzymać żaglowiec? Można łańcuchowymi kulami zwalić mu maszty. Lub podpalić żagle czy staranować. Albo zatopić burtową salwą.

Można też wbić sternikowi sztylet w plecy, chwycić ster i ustawić okręt do wiatru. Ale cóż na to załoga? Darujmy więc życie sternikowi, udajmy się lepiej do kapitańskiej kajuty i zabijmy kapitana. A potem weźmy jego kapitański kapelusz, wyjdźmy na pokład i wydajmy sternikowi rozkaz – siedem rumbów, ostrzyć, do linii wiatru. Wszystko zależy od siły naszych słów. Wystarczy, że jeden bosman przyjmie i wykona rozkaz. Wtedy wygraliśmy i okręt jest nasz.

Generał Joachim von Egern siedział w znajdującym się na tyłach stołecznej ujeżdżalni małym gabinecie. Przed biurkiem, na podłodze, leżał trup Kleiderpetera.

Kwadrans wcześniej dyktator wstał, aby serdecznie powitać swego najlepszego generała i zamiast serdecznego uścisku otrzymał pchnięcie sztyletem w serce. Skonał od razu. Teraz głowa najpotężniejszego człowieka Republiki spoczywała na kolanach siedzącej na dywanie rudowłosej. Dziewczyna głaskała gładko zaczesane włosy trupa i uśmiechała się do Joachima, pokazując bezzębne dziąsła.

Ale to nie koniec historii Generalnego Sekretarza. Musi dokonać się sprawiedliwość. Trup Kleiderpetera zostanie osądzony, skazany, wsadzony na wóz do Derflingen i tam rozstrzelany kartaczami. Rigor mortis jeszcze nie ustąpi, więc wystarczy oprzeć dyktatorskiego trupa o wbity w ziemię palik. Dwukrotnie zabite ciało zepchnięte zostanie do dołu i przysypane wapnem.

Generał Joachim von Egern przyglądał się zawczasu przygotowanemu dokumentowi. Och, jak pięknie brzmi! Rozkoszował się majestatycznym, królewskim brzmieniem słów – „My, Joachim von Egern...”, „pierwszym konsulem Republiki”, „z woli Boga i ludu Republiki”.



Mały, brudny Żydek, znany jako Marx Karczmarz z karczmy nad Dniestrem w Mołdawii, był inteligentniejszy niż mogłoby się wydawać przygodnemu obserwatorowi, zwracającemu uwagę na pozory, na postrzępiony chałat, skołtunioną brodę i czarne od brudu paznokcie. Szedł Żyd za ich pułkiem, handlując gorzałką, patrzył jak świeżo nominowany generał Joachim von Egern przyjmował defiladę zwycięskiego wojska, dosiadając pięknego, siwego, pełnej krwi arabskiego ogiera, niespokojnie chrapiącego i tańczącego pod jeźdźcem. Koń należał wcześniej do księcia Suworowa, pokonanego rosyjskiego wodza, który musiał oddać swą szpadę pierwszemu żołnierzowi Republiki. Oto pełny obraz triumfu.

Wtedy stary Żyd, dosiadający swego muła, objuczonego baryłkami z wódką, podjechał do pięknego generała. Adiutanci zagrodzili mu drogę lecz generał von Egern był wielkoduszny, ruchem ręki pozwolił handlarzowi podjechać bliżej.

Od kiedy wojsko masz na swe skinienie, nic więcej w Republice nie stanie przeciwko tobie. Lecz pamiętaj: historia nigdy nie stanowi sama o sobie. Historia zawsze wraca do przeszłości, czy to w swoich formach czy w treści. Nic nie dzieje się po raz pierwszy. Więc pamiętaj o Idach Marcowych, powie Żyd, zdradzając erudycję.

Joachim wygładził arkusz papieru z uchwałą, którą jeszcze tego dnia miał przegłosować Senat. Z woli Boga i ludu Republiki Pierwszy Konsul Joachim von Egern. Dziś rano rudowłosa dała mu sztylet i papiery. Sztyletu już użył, wystarczy podpisać jeszcze papiery. Zanurzył więc pióro w kałamarzu, dłoń zawisała nad pergaminem. Jeden płynny ruch i w ozdobnym zawijasio spłynię atrament, układając się w litery „Joachim von Egern”. Taki podpis jest jak cięcie w galopie szablą w łeb przerażonego żołnierza piechoty, chowającego się za swym bagnetem. Ręka, zgrana wspaniale z rytmem galopu, opada, bez wysiłku, lekko, znacząc czerwony ślad na twarzy wroga.

My, Joachim von Egern. My, Joachim von Egern. My, Joachim von Egern.

Nie zrobię tego, pomyślał.

– Dlaczego? – wrzasnęła rudowłosa.

Joachim wstał i rzucił się do drzwi. Dziewczyna, gdy przebiegał obok niej, chwyciła go za łydke, obiema rękami. Zatrzymał się, kopnął ją w twarz. Gdy upadła, wyszarpnął z pochwy szpadę i pchnął leżącą prosto w pierś. Świetne, toledańskie ostrze przeslizgnęło się między żebrami, przebiło płuca, serce i wbiło się w deski parkietu. Joachim puścił rękojeść i wybiegł. Ściągał go świszczący śmiech rudowłosej.

\*\*\*

Wóz niespiesznie toczył się po dobrej, cesarskiej drodze. Obok człapały huzarskie konie. Szable śniedziały w pochwach, rzadko się zdarzało, by huzarzy nie musieli dobyć broni przez kilka dni. Koniom ładnie zaokrągliły się zady. Jeszcze niedawno wyglądały, jakby kości miały przebić im skórę. Dobrze robi szwadronowi obrok dla generalskich koni. Porucznik von Schirach zabawiał się czytaniem „Ducha religii” Shlossbriantta. Wachmistrzowie opróżniali już drugi bukłak wódki.

Generał von Egern nie wystawiał nosa poza wóz. Nakazał żołnierzom trzymać się o dwadzieścia kroków od zaprzęgu, aby nie przeszkadzali mu w rozmowie z księdzem. Najpierw on opowiadał o wszystkim, przez dwa dni, a teraz, od kwadransa, słuchał kapłana. Nadzieja – to jedyne, czego potrzebował. Może on, ten siwy klecha, może mu ją dać. Jeżeli nie, to zastrzeli go, tak postanowił. Ksiądz nie wiedział, że może wygrać życie. Nie widział generała wrogiej armii, rewolucjonisty, który zniszczył stary porządek – dostrzegł przerażonego chłopca, który przychodzi skruszony do konfesjonału. „Proszę księdza, ja dotykałem piersi jednej dziewczyny. Złapała nas jej bona, powiedziała, że jesteśmy potępieni”.

Nie wiem, chłopcze, jaki szatan popchnął cię do takich czynów. Nie wiem, ile z tego, o czym mówisz, narodziło się w twoim udreńczonym umyśle. Nie wiem, czy Bóg mówił do ciebie. Nie odezwał się nigdy do św. Augustyna, ani do Akwinaty – a do św. Bernarda przemówił, ale po tym, jak ów pościł i umartwiał się przez całe życie. Mówisz, że chciałeś się zabić. O tak, to straszny grzech. Nie ma gorszego. Mówisz – już jestem potępiony. Chłopcze, nie nam decydować o boskich wyrokach. Bóg przechodzi samego siebie, bo na tym polega jego wszechmoc. Bóg jest miłością. Tyś synem marnotrawnym, takim, który nie tylko wziął swoją część majątku, ale jeszcze skradł części przynależne jego braciom. Ale czy myślisz, że takiego syna nie przyjąłby ojciec? Ukorz się, odrzuć zaszczyty, odrzuć władzę, jaką daje ci to państwo, odrzuć pychę, odrzuć dumę. Idź do zniszczonej, zbezczeszczonej katedry, padnij na kolana, przyjmij karę, jaką naznaczy ci Pan, choćby była najcięższa – a może przyjmie cię do siebie.

Joachim postanowił darować księdzu życie. Kazał dać mu cywilne ubranie, broń, papiery, konia i pieniądze. Kapłan z wysokości siodła długo patrzył za odjeżdżającym oddziałem.

\*\*\*

Zaparł się całym ciałem o zamknięte drzwi katedry. Szczęknęło i otwarły się przed nim, skrzypiąc. Z gwarnej ulicy, która zapomniała już o Derflingen i myślała o pieniądzach, wkroczył w ciszę gotyckich murów.

Jakże zmieniło się to wnętrze! Freski na gotyckim, gwieździstym sklepieniu zamazano. Nie było już ławek w nawach i transepcie, ani stali w prezbiterium. Nie było pięknego ołtarza, zwalony, zniszczony leżał na podłodze, w stosie połamanych, drewnianych rzeźb. Dostojne filary do wysokości wyciągniętych ludzkich rąk pokryte były afiszami, obwieszzeniami i plakatami. Podłogę zaścierała warstwa śmieci, jaką pozostawiają po sobie wielkie ludzkie zgromadzenia: butelki, papiery, ogryzki, połamane krzesła. Zamiast zwalonej ambony zbudowano prowizoryczne podwyższenie.

Katedra nie straciła jednak swego dostojństwa. Strzeliste okna, w większości pozbawione teraz witraży kierowały myśli ku niebu. Splecione żebra sklepienia nie straciły na gracji. W prezbiterium, na najwyższej ścianie wisiał mały krucyfiks. Może zapomnieli, może nie sięgali? Dali radę, budując rusztowania, zniszczyć przedstawiające świętych freski na sklepieniu. Jednak mały, poślaczany krucyfiks tkwił w prezbiterium, jak chorągiew seniora na donżonie zamku. Możecie zasypać fosę, rozbić bramy, zdobyć mury, wejść na dziedziniec – póki powiewa moja chorągiew na najwyższej kondygnacji, jestem, bronię się. Możecie być już w środku – będę bronił się na strychu. Poślaczany Chrystus, przybity do małego krzyża z ciemnego dębu patrzył na zebrania Klubu Ateistów, patrzył na orgię, w czasie której tłum deptał hostie, zwiezione ze wszystkich tabernakulów stolicy. Widział księży, którzy sutanny zamienili na czerwone czapki i przed urzędnikami Republiki, w katedrze zaślubiali zakonnice. Widział księży, którzy nie chcieli czerwonych czapek, bagnetami zmuszanych do spółkowania z zakonnice, które nie chciały mężów. Widział i zabrał do siebie nowicjuszkę-klaryskę, która uważała na katechezie i wiedziała, że w takiej sytuacji Kościół nie uznaje samobójstwa za grzech.

Joachim von Egern kroczył wzdłuż głównej nawy, z oczami utkwionymi w krzyż. Stał w miejscu, w którym podczas mszy stawał kapłan, zwrócony ku ołtarzowi. Padł na kolana. Opuścił głowę i wsparł się na rękach, pochylił cały, dotknął czołem zimnej, wilgotnej i brudnej posadzki. Szloch ścisnął mu gardło.

- Panie... – wycharczał. – Przyjmij mnie do siebie, bo cierpię.
- Joachimie, jesteś głupcem – powiedział Sługa.

Joachim zerwał się z klęczków, odwrócił gwałtownie. W centralnym punkcie katedry, na skrzyżowaniu transeptu i głównej nawy stał Sługa. Zmienił strój. Odziany był teraz jak zamożny mieszczanin, w czarny aksamit. W prawej dłoni trzymał łańcuch, na którego końcu znajdowała się stalowa, nitowana obroża, opasująca szyję rudowłosej. Dziewczyna, odarta z ubrań, broczyła krwią ze złamanego nosa. Na nagiej piersi nie było rany po szpadzie Joachima. Klęczała u stóp Sługi, z pochyloną głową, jak niewolnica. Sługa odezwał się ponownie:

– Joachimie, jesteś głupcem. Przecież On nie przyjdzie do ciebie. Sam ci to powiedział.

– On jest miłością. Jego miłość jest większa niż Jego gniew. Przyjdzie.

– Głupcze. A nad to wszystko między nami i wami otchłań wielka postanowiona jest, iż ci, którzy by stąd chcieli przejść do was, nie mogą, ani stamtąd przejść ówdzie. Czytałeś Pismo? Nędzarz nie może zejść do cierpiącego w piekle bogacza, chociażby tylko po to, by zwilżyć mu wargi, a do ciebie ma zejść sam Chrystus?

– Przyjdzie – powiedział z uporem Joachim.

– Nie, Joachimie. Nie przyjdzie, bo cię nawet nie słyszy. Zapomniał o tobie. Tylko ja o tobie pamiętam. I oto daję ci Ją.

Sługa ruszył w kierunku Joachima. Rudowłosa została, więc szarpnął łańcuch, pociągając dziewczynę za sobą. Upadła na twarz, podniosła się i szybko, pokornie podażyła za Sługą, by znów przykleknąć u jego stóp. Sługa podał Joachimowi łańcuch.

– Bierz ją. Jest twoja. Wcześniej ona władała tobą, teraz oddaję ją tobie. Jest twoją niewolnicą, możesz z nią zrobić wszystko. Spełni twój każdy rozkaz, pokornie i ochoczo.

Joachim nie wyciągnął ręki.

– On przyjdzie.

– Głupcze. Nie przyjdzie. Proszę cię drugi raz, bo cię lubię. Nasz los podobny. Weź ją, staniesz się panem swojego losu. Nie weźmiesz, to puszcę ją wolno, zdejmę okowy, a ona cię pożre.

– On przyjdzie – powtórzył Joachim.

– Jak chcesz. Kiedyś zmądrzejesz, głupku – powiedział Sługa i wyszedł z katedry, ciągnąc za sobą potykającą się rudowłosą.

Von Egern padł ponownie na kolana. Spojrzał na krzyż, całą swoją świadomość skupił na Chrystusie i zamknął żarliwą modlitwę w dwa słowa:

– Panie, przyjdź!

Słowa wyrwały się z ust huzara, zwielokrotnione przez gotyckie mury dotarły do pozłacanego Chrystusa na dębowym krzyżu. Pochylił głowę i czekał z nadzieją. Lecz Zbawiciel pozostał głuchy. Bezustannie wołał tak wielu potępionych, że krzyk Joachima nie wyróżnił się nawet z chóru tych, którzy sami wepchnęli się do otchłani. Znajomy głos nie zwrócił się do Joachima po imieniu, przyjazna dłoń nie spoczęła na jego ramieniu. Każda sekunda ciszy przepełniała go rozpaczą, uczuciem równie intensywnym, jak miłość na chwilę przed spełnieniem.

Z hukiem otwały się odrzwia. Na czele tłumu rewolucjonistów w czerwonych czapkach do katedry wpadła rudowłosa. Naga, zakrwawiona, szła ku Joachimowi z rzeźnickim nożem w dłoniach, szaleńczy uśmiech odkrywał już nie bezzębne dziąsła, lecz ostre, białe kły. Za nią stapał motłoch. Mężczyźni z obłędem i żądzą w oczach, kobiety obnażające piersi i zdzierające z siebie suknie. Rudowłosa chwyciła Joachima za halsztuk.

– Nie chciałeś mnie na łańcuchu? No to masz mnie bez łańcucha. Trza było go posłuchać – powiedziała, całując huzara w usta i, raniąc mu wargi do krwi.

Wbiła rzeźnicki nóż w splot słoneczny generała von Egern i szarpnęła z ogromną siłą, otwierając klatkę piersiową.

– Wiesz, dlaczego wcześniej nie mogłeś umrzeć? Bo ja nie chciałam twojej śmierci. A teraz cię zabiję, i nie liczę, że w śmierci znajdziesz ukojenie – wyszeptła mu do ucha.

Sięgnęła dłonią między rozszczerzone żebra, między sinoczerwone płuca, palcami objęła tętniące jeszcze serce, pieszcząc je miłosnym gestem, by nagłym ruchem wyrwać je z piersi Joachima i zatopić w nim kły.

Motłoch rzucił się do przodu, począł rozrywać generała Joachima von Egern na strzępy. Mury katedry zadrżały. Strzeliste filary, oddzielające nawę główną od bocznych, złamały się wpół i z głuchym łoskotem uderzyły o posadzkę. Pozbawione oparcia gwieździste sklepienie zapadło się i posypało w dół. Mury pochyliły się, ciągnąc za sobą zewnętrzne przypory. Przez chwilę stały wsparte o siebie, jak gigantyczny domek z kart, by wreszcie pęknąć i upaść na posadzkę deszczem ciemnoczerwonych cegieł i kamieni: murów, maswerków, sterczyn, żeber. Jęk zapadających się ścian i huk uderzenia o ziemię tysięcy cegieł słychać było w promieniu wielu mil.

Nawy, transept, wieża zawaliły się, grzebiąc pod sobą kilkuset ludzi. Nienaruszone pozostało tylko prezbiterium. Dwa rzędy filarów, niższych niż w nawie, małe, krzyżowe sklepienie, pięć okien, po dwa na każdej ścianie i jedno nad ołtarzem. Tyle zostało z katedry, wyciosanego z kamienia i ułożonego z cegły teologicznego wykładu metafizyki światła.

Wzgórze szybko porosło trawą, na bezładnej stercie gruzu zadomowiły się brzozy i mech. Kilka lat później osiemnastoletni Friedrich (zwany przez rówieśników Fryckiem) Kazper przysiadł na jednym z kamieni i z zapartym tchem kreślił węglem na luźnych kartkach szkice do obrazu. Na tle przykrytego ciężkimi chmurami nieba wznosiły się ruiny gotyckiej katedry. Zniszczone, lecz żywe. Młody artysta trzy kartki poświęcił na dokładne studium małego krucyfiksu, który na przekór wszystkiemu wisiał u samego sklepienia ruiny. Połączany Chrystus błyszczał, mimo pochmurnego dnia.

\*\*\*

Atilla wychylił się zza narożnika kamienicy. Ulica Thokolyego wyglądała jak pole bitwy. Na środku stał spalony radziecki czołg T-34, któremu wybuch amunicji oderwał wieżyczkę, tak że przekrzywiona armata opierała się o ziemię. Barykada na skrzyżowaniu z Doyzsa Gyórgego, była już opanowana przez Sowieców. Atilla długo lustrował teren, wreszcie pod kamienicą zauważył siedzącego doń tyłem sowieckiego żołnierza. Widać było kawałek pleców i głowę. Taaak, z tej strony nie spodziewały się sowieckie małpy Madziara, pomyślał chłopak. Schował się za róg, dając sobie chwilę na zastanowienie.

Trzeba przede wszystkim zameldować. Z drugiej strony, po coś mam ten pistolet, rozważał, wtuliwszy się w róg klatki schodowej. Niejeden powstaniec chodzi tylko z butelką z benzyną, albo z nożem czy bagnetem – mnie dali tetetkę. Trzeba strzelać. Ale czy meldunek nie ważniejszy? Dobra, wyjrzę teraz. Jeżeli jeszcze tam siedzi, znaczy mam strzelać. Jeżeli sobie poszedł – lecę z meldunkiem.

Wychylił się ponownie. Rosjanin siedział dalej w tym samym miejscu. Atilla powoli wyjął z kieszeni radziecki TT. Chowając broń pod połą jesiennej kurtki, zarepetował, cały czas trzymając zamek dłonią, tak żeby nie narobić hałasu. Przyklęknął, oparł pistolet o wystającą cegłę i trzymając go w obu dłoniach, wycelował. Żołnierz był dobre sto metrów od niego, nie tak łatwo trafić w niewielki cel z takiej odległości – a miał tylko jeden strzał, potem musiał uciekać. Psiakrew, jakbym miał pepeszę, albo przynajmniej starego mauzera, jak Zoltan, pomyślał. Wreszcie nacisnął spust. Szarpnęło, jak zwykle – mocno. Pustą i cichą ulicą wstrząsnął zwielokrotniony przez ściany domów huk. Sowiecki żołnierz, trafiony w głowę, upadł na ziemię. Atilla rzucił się do ucieczki, by po chwili zrozumieć, że powinni do niego strzelać, a nic takiego się nie dzieje. Zatrzymał się, przeskoczył szybko na drugą stronę ulicy i przyklejony do muru zaczął wracać. Gdy wyjrzał znowu wzdłuż ulicy Thokolyego, na

barykadzie nie było żadnego ruchu. A trup Rosjanina leżał sobie tam w najlepsze. O cholera! O jasny gwint! Sam, jeden. Karabin, cztery magazynki, dokumenty, hełm, jasny gwint. Nie można tego zostawić. A jak mnie przydybią? Ech, wystarczy, że mnie złapią gdziekolwiek – pistoletu w dupę nie schowam, a jak znajdą, to zastrzelą na miejscu. Pies was jebał, Ruski. Idę.

Rozejrzawszy się dookoła, ruszył. Zgięty w pół dobiegł do martwego żołnierza. Szybko, szybko, szybko, gdzie karabin? Jest! Zarzucił zdobycznego kałasznikowa na plecy, odwrócił trupa, by z torby przy pasie wyciągnąć magazynki. Trafił rosyjskiego żołnierza w tył głowy. Był z tego dumny, dopóki nie zobaczył twarzy tamtego – zamiast czoła ziała krwawa jama wielkości pięści, mózg leżał na barykadzie. Wstrząsnęły nim torsje, zwymiotował, ale zaraz się opanował. Dobrze ci tak, Rusku. Nie trza było z Madziarami zaczynać, pomyślał, rękawem wycierając usta. Przykrył okaleczoną twarz jakąś szmatą, przełożył magazynki do kieszeni i, klnąc w duchu, obrócił trupa jeszcze raz, aby z kieszeni spodni wyciągnąć dokumenty.

– Ręce do góry! – wrzasnął ktoś za Atillą po węgiersku.

Karabin na plecach, pewnie nie przeladowany, do niczego. Tetetka w kieszeni, z nabojem w komorze, kurek napięty. Zdążyć?

Sięgnął do kieszeni, przewracając się jednocześnie na prawy bok. Strzelił do postaci w skórzanej kurtce, która wyrosła przed nim, lecz chybił. Szczupły mężczyzna dopadł go w pół sekundy jednym skokiem, nawet nie sięgał do kabury. Atilla strzelił jeszcze raz, leżąc, lecz gdy naciskał spust, mężczyzna rzucił się w lewo, unikając kuli. Był już przy nim – kopnął w prawą dłoń, wytrącając pistolet, i uderzył Atillę w skroń, pozbawiając przytomności. Szybko sprawdził mu kieszenie, szukając broni. Zabrał magazynki, karabin i ocucił chłopca paroma mocnymi policzkami.

– Obudziłeś się, urwisie? To dobrze. Kapitan Egern, AHV. Obywatelu, jesteście aresztowani za zamordowanie sowieckiego żołnierza, posiadanie broni, szabrownictwo, przynależność do nielegalnej organizacji i co tam jeszcze będzie trzeba.

Atilla nie wierząc własnym oczom patrzył na agenta.

– Pan Egern? Pan?! Przecież pan... Z samym panem generałem Maleterem pana widziałem... Pan zdrajcą? Pan, taki szlachetny, przecież pan nam opowiadał o honorze, o powstaniu w 1848, o Petöfim, o Bemie, o froncie wschodnim, z pana taki dobry Węgier! – bełkotał Atilla, bardziej wstrząśnięty nagłą demitologizacją jednego z jego bohaterów, niż swoją sytuacją.

– Tak to bywa, chłopcze. Wstawaj, idziemy – odpowiedział Egern, zakuwając Atillę w kajdanki.

Osoбіście odprowadził chłopca do tymczasowej siedziby AHV. Tam spisał akta, następnie przeprowadził przesłuchanie, wybijając Atilli sześć zębów, łamiąc palce u rąk i masakrując mięśnie pośladków (po setce razów gumową pałką na gołe ciało). Chłopak nie zdradził niczego, odpowiadając hardo, póki mógł jeszcze mówić. Wreszcie Egern, znudzony, wyprowadził Atillę na podwórze dwie ulicy dalej, gdzie w pośpiesznie wykopanym dole leżało już kilkanaście ciał. Pilnujący placu sowiecki sierżant podszedł do kapitana Egerna, pogawędzili chwilę przyjaźnie, zapalili. Wreszcie Joachim zaprowadził chłopca nad dół, kazał stanąć twarzą w kierunku grobu, aby widział trupy. Z kabury przy pasie wyciągnął parabellum, przystawił chłopcu do potylicy, potrzymał chwilę, aż nagle przesunął lufę dwadzieścia centymetrów w prawo i strzelił w mur. Chłopak zwinął się od huku, a Egern warknął:

– Spierdalaj. Wynoś się jak najszybciej z Węgier. Już.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia z placu. Wartownikowi wsunął paczkę amerykańskich camelów do kieszeni szynela.

– Nic nie widziałeś, Lońka, prawda? – powiedział po rosyjsku.

– Jakże bym miał nie widzieć, towarzyszu kapitanie? Wszystko widziałem, a sowieckiemu człowiekowi i czerwonarmiście kłamać nie przystoi. Wykonaliście wyrok śmierci na tym młodym, a już zepsutym kontrrewolucjoniście i agencie amerykańskiego wywiadu. Odstrzeliliście mu pół łba, a trup wpadł do dołu.

– Dobrze, Lońka. Przyjdź jutro, pogadam z twoim lejtnantem o urlopie. Pojedziesz sobie nad Balaton.

Atilla stał jeszcze chwilę, nie rozumiejąc co się dzieje. Usłyszał za sobą rosyjskie:

– Paszoł won, durak! Bystro!

Ruszył więc biegiem.

\*\*\*

Na trzy dni zaszył się w starej kamienicy, w której mieszkała jego babka. Ukrył się na strychu, babcia doglądała go, żywiła i leczyła. W Budapeszcie upadało powstanie, miażdżone rosyjskimi czołgami, Atilla Szabo nie chciał już walczyć – był na to zbyt chory, obite pośladki zaczęły się paprać. Poza tym pamiętał słowa Egerna. 8 listopada, już po upadku miasta, udało mu się wydostać z Węgier wraz z grupą zmierzającą do Austrii.

W Budapeszcie zostawił rodziców, siostrę, babcię i dziewczynę. Na szczęście w Wiedniu miał starą ciotkę, ożenioną z Austriakiem jeszcze za cesarstwa. Mili ludzie przygarnęli go, po dwóch latach udało się ściągnąć rodziców i rodzeństwo. Skończył filologię niemiecką na wiedeńskim uniwersytecie, zrobił doktorat, został profesorem – otworzył również mały antykwariat przy Rotenturmstrasse, specjalizując się w niemieckich i węgierskich starodrukach. W roku 2001 był dość zamożnym, szanowanym obywatelem austriackim w sile wieku, ze sporymi dokonaniem naukowymi, pięknym domem na przedmieściu, dobrą żoną – Węgierką i dwiema dorosłymi córkami.

Któregoś kwietniowego popołudnia do antykwariatu wszedł znany wiedeński adwokat, Alexander von Hohenlohe (podpisywał się z „von”, nic nie robiąc sobie z austriackiego prawa, które tego wyraźnie zabraniało) i zaproponował mu zakup unikatowej książki z przełomu XVIII i XIX wieku – spisanego ręcznie, częściowo po niemiecku, częściowo po węgiersku, pamiętnika-rękopisu. Piękny tom, z ponad dwustoma kartami czerpanego papieru, oprawiony w okutą srebrem skórę. Atilla, nie wahając się, kupił. Cena nie była wysoka, a rzecz pasjonująca. Postanowił przejrzeć dziełko następnego dnia, jednak wychodząc, otworzył księgę na pierwszej stronie i nie oderwał się od niej przez następne dwie godziny. Potem przeniósł ją do małego laboratorium, by po paru kwadransach ze złością skonstatować, że rzecz jest falsyfikatem. Wspaniałym, świetnym w pewnym sensie (ta kaligrafia!), napisanym na starym papierze, lecz stosunkowo świeżym atramentem.

Następnego dnia wściekły zadzwonił do adwokata, ten przeprosił i obiecał stawić się za parę minut z pieniędzmi. Uplłynął kwadrans zaledwie, kiedy do antykwariatu wszedł szczupły, młody mężczyzna w drogim, szarym garniturze. Atilla mruknął coś na powitanie, nie przestając wertować książki.

– Widzę, że czyta pan mój pamiętnik, panie Szabo.

Atilla usłyszał głos, którego nie zapomniał i miał nie zapomnieć nigdy, chociaż po raz ostatni słyszał go pół wieku temu. Gdy zobaczył przed sobą twarz kapitana Egerna, dokładnie taką jaką zapamiętał, otworzył usta ze zdziwienia graniczącego z szokiem i zamarł. Dwie godziny później siedział z Egernem przy stoliku w „Brauhaus Nussdorf” i ciągle z niedowierzaniem oglądał zdjęcia, wklejone do pięknego, oprawnego w safian albumu – Egern w mundurze rotmistrza huzarów z lat sześćdziesiątych XIX wieku, major huzarów z końca XIX wieku, znowu rotmistrz, tym razem w dragonach, rok 1916, Egern znowu w XIX wieku, w surducie, potem w mundurze austro-węgierskiej marynarki wojennej, Egern w mundurze

czołgisty Waffen SS. Rozmawiali ściszymi głosami, po węgiersku, i Atilla powoli zaczynał wierzyć w całą historię.

– Dlaczego tak się stało, panie von Egern? – zapytał w końcu.

– Jest pan wierzący, panie Szabo? – odpowiedział pytaniem na pytanie Joachim.

– Tak, jestem katolikiem.

– „I rzekł Bóg: Cóżes uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Teraz tedy przeklętym będziesz na ziemi, która otworzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego z ręki twojej. Gdy będziesz sprawował ziemię, nie wyda więcej mocy swej tobie; tułaczem, i biegunem będziesz na ziemi. Tedy rzekł Kain do Pana: Większa jest nieprawość moja, niżby mi ją odpuścić miano. Oto mię dziś wyganiaasz z oblicza tej ziemi, a przed twarzą twoją skryję się, i będę tułaczem, i biegunem na ziemi; i stanie się, że ktokolwiek mię znajdzie, zabije mię. I rzekł mu Pan: Zaiste, ktobykolwiek zabił Kaina, siedmioraką odniesie pomstę. I włożył Pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, ktobykolwiek znalazł”. Księga Rodzaju, 10, 16 – wyszeptał Joachim.

– Ale dlaczego stałeś się jak Kain? – zapytał Atilla.

Rotmistrz zamilkł na chwilę. Sięgnął po kieliszek z winem, wychylił go jednym haustem – wypił już dwie butelki tokaju, a nie był ani trochę pijany.

– Nie jestem jak Kain. Jestem jak Lamech.

– Lamech? – nie zrozumiał Atilla.

– Prawnuk Kaina. „Tedy rzekł Lamech żonom swym, Adzie i Selli: Słuchajcie głosu mego, żony Lamechowe, posłuchajcie słów moich; zabiłbym ja męża za zranienie moje, i młodzieńca za siność moją. Jeżeli siedmiokroć mścić się będą za Kaina, tedyć za Lamecha siedemdziesiąt i siedem kroć”. Zabijałem młodzieńców za siniak, zabijałem nawet za obelgę, dlatego ponoszę karę siedemdziesiąt i siedem razy.

– Zakładając, że mówi pan prawdę, panie von Egern, to po tych trzystu latach historia się panu zaciera. Przeczytałem wczoraj cały pański pamiętnik – i mieszają się panu miasta, okresy, ludzie, wszystko! Przecież Austro-Węgry nigdy nie toczyły wielkich wojen na Bałkanach! W Wiedniu nie było rewolucji. Katedra św. Stefana nadal stoi, wcale jej nie zburzono – Atilla wyliczał podniecony.

Joachim von Egern uśmiechnął się.

– Dlaczego się pan śmieje, panie Egern! Mówię panu, że w Wiedniu nie było rewolucji, a pan twierdzi, że była!

Joachim, uśmiechając się pod nosem, podał Atilli zdjęcie – pozowało na nim dwóch mężczyzn w mundurach czołgistów WarTen SS, siedząc na wieżyczce czołgu.

– Co pan o tym myśli, panie Szabo? – zapytał.

Atilla wziął w dłonie poźółkle nieco zdjęcie. Znał się dobrze na militariach.

– To pan, w mundurze SS-Obersturmführera pierwszej dywizji pancerniej Leibstandarte SS Adolf Hitler, na wieżyczce tygrysa.

– Świetnie! A ten obok?

– Hmm... wygląda jak... ten znany niemiecki pancerniak. Jak on się nazywał? A, Michael Wittmann. To on, prawda?

– Tak. SS-Hauptsturmführer Michael Wittmann, 101 Panzer Abteilung, 1 Panzer Division Leibstandarte SS Adolf Hitler. Proszę teraz przyjrzeć się, gdzie stoi nasz tygrys.

Szabo jeszcze raz dokładnie przyjrzał się starej fotografii. Antykwarycznym zwyczajem, najpierw obejrzał dokładnie rewers. Ktoś umieścił na nim datę, piórem, pięknym charakterem pisma – 6 stycznia, 1945 roku. Odwrócił zdjęcie. Gdy zrozumiał, fotografia wypadła mu z dłoni. Dwóch oficerów Waffen SS, Joachim von Egern i Michael Wittmann, siedziało na wieżyczce potężnego Königstigera w zimowym kamuflażu, uśmiechając się do fotografa. Czołg stał na tle ruin Mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym w Moskwie.

\*\*\*

Joachim von Egern upił jeszcze jeden łyk wina.

– Już pan rozumie, panie Szabo?

– Niczego nie rozumiem, panie von Egern...

– Wrzucono mnie w Historię. Jestem bytem metahistorycznym. Historia w każdej sekundzie dzieli się na gałęzie, rozdziela, rozwidla, jak fraktal. Ja żyłem w jednej gałęzi, tak jak każdy człowiek, jak pan, jak wszyscy. To moje piekło – żyję zawsze w złych czasach, przywiązany do tego kontynentu, zaplątany nie tylko we wszystkie wojny i rewolucje, jakie się zdarzyły, ale we wszystkie jakie, tylko mogły się zdarzyć. Niosę ze sobą to brzemię. To właśnie jest moje piekło.

Szabo milczał, rozmyślając nad słowami oficera. Nagle coś zrozumiał.

– Dlaczego jest pan tutaj, panie von Egern? Przecież to całkiem spokojne... – powiedział, urywając w połowie.

Joachim von Egern uśmiechnął się ze zrozumieniem.

\*\*\*

Bieda jechał bardzo powoli. Jego wałach kroczył stępa, skubiąc trawę. Hun puścił wodze i kantar, które zwisały luźno, zaczepione o przedni łęk wysokiego siodła. Wpatrywał się uważnie w miękką ziemię panońskiego stepu. Niedawno padał deszcz, więc ślady będą widoczne jak na dłoni. Tutejszy step jest dużo lepszy niż w ojczyźnie. Owce, które tutaj się pasą są tłustsze i większe.

Nareszcie! Wyraźny ślad podkutego, rzymskiego sandała. Bieda zwiesił się z siodła, zgarniając dłonią garść błota. Powąchał, roztarł w dłoni. Świeży ślad, stwierdził. Jesteś blisko, rzymski żołnierzyku. Widziałem, jak wyrąbałeś sobie drogę do bramy w obozie, by uciec w noc. Nie goniłem cię wtedy, bo brałem łupy. Zostawiłem sobie ciebie na później.

Chwycił wodze i okręcił je wokół lewego nadgarstka. Wyjął arkan. Ruszył lekkim klusem – dosiadał konia w charakterystyczny, niesymetryczny sposób, opierając ciężar ciała na lewym udzie.

Jest.

Rzymski oficer zerwał się z za głazu i rzucił do panicznej ucieczki. Hun cmoknięciem przynaglił konia do galopu i sam uniósł się w strzemionach. Galopował bez pośpiechu, zachodząc Rzymianina od swojej prawej strony. Rzucił arkan – pętla opadła na ramiona uciekającego żołnierza i zacisnęła się na szyi. Szarpnął. Centurion znalazł się na ziemi. Charczał, usiłując rękami rozluźnić zaciśnięty rzemień. Bieda powoli podjechał do swojego jeńca i przyjrzał mu się uważnie. Zmiękczymy cię, pomyślał, i ruszył, pociągając za sobą Rzymianina. Ten jednak odzyskał przytomność umysłu, wyrwał z pochwy sztylet i odciął ciągnącą go linę. Z wysiłkiem wstał i dobył miecza, przygotowując się do obrony.

Bieda, zirytowany, zawrócił. Jak chcesz, wzruszył ramionami. Chwycił za szablę i cwałem ruszył w kierunku przeciwnika. Wiatr zerwał mu z głowy futrzaną czapkę. Centurion Marek Publiusz Pulcher ze zdziwieniem zauważył, że Hun ma jasne włosy i niebieskie oczy. Krótkim ostrzem gladiusa nie zdołał odbić potężnego cięcia huńskiej szabli – uderzyła go w głowę, rozrąbując czaszkę razem z hełmem.

Bieda obdarł trupa z cennych przedmiotów, wskoczył na siodło i ze zdziwieniem stwierdził, że okolica wydaje mu się znajoma.